KLASYCY PÓŹNEJ STAROŻYTNOŚCI • WYDANIE ILUSTROWANE

Żywot świętego Marcina

De vita beati Martini

Sulpicjusz Sewer



Pełne wydanie we współczesnej polszczyźnie, z kontekstem historycznym narratora i 14 ilustracjami

Spis treści

Wstęp Słowo wstępne narratora: człowiek ukryty za legendą 5

List dedykacyjny List autora do przyjaciela Dezyderiusza o żywocie świętego Marcina 7

Rozdział I Dlaczego święte życie jest warte więcej niż sława Hektora czy Sokratesa 9

Rozdział II Z Panonii do Italii: chłopiec, który uciekł do kościoła i został zaprowadzony do wojska w łańcuchach 11

Rozdział III Płaszcz przecięty na pół u bram Amiens i widzenie Chrystusa 15

Rozdział IV Twarzą w twarz z Julianem w Wormacji: „Jestem żołnierzem Chrystusa; walczyć mi nie wolno” 18

Rozdział V Święty Hilary z Poitiers, urząd egzorcysty i zasadzka zbójców w Alpach 20

Rozdział VI Spotkanie z diabłem na drodze, publiczna chłosta i trucizna na wyspie Gallinara 23

Rozdział VII Klasztor w Ligugé i pierwszy cud: katechumen, który wrócił do życia 25

Rozdział VIII Młody niewolnik Lupicyna ocalony od śmierci 27

Rozdział IX „Porwanie”, żeby zrobić go biskupem Tours, i upokorzenie biskupa Defensora 28

Rozdział X Biskup, który mieszkał w drewnianej chacie: założenie Marmoutier 31

Rozdział XI Fałszywy męczennik zdemaskowany: duch zbrodniarza przy ołtarzu 33

Rozdział XII Pogański pogrzeb unieruchomiony pośrodku pól 35

Rozdział XIII Wyzwanie świętej sosny: związany pod padającym drzewem 37

Rozdział XIV Ogień, który cofnął się pod wiatr, i dwaj uzbrojeni aniołowie w Levroux 40

Rozdział XV Szyja odsłonięta przed mieczem w kraju Eduów 41

Rozdział XVI Sparaliżowana dziewczyna uzdrowiona w Trewirze poświęconym olejem 43

Rozdział XVII Były prokonsul Tetradiusz i palce Marcina w ustach opętanego 44

Rozdział XVIII Fałszywa pogłoska o najeździe barbarzyńców, pocałunek dla trędowatego w Paryżu i nitki z tuniki 46

Rozdział XIX List, który uleczył córkę Arboriusza, oczy Paulina z Noli i upadek ze schodów 48

Rozdział XX Uczta cesarza Magnusa Maksymusa: kielich podany kapłanowi przed cesarzem 50

Rozdział XXI Rozmowy z aniołami i diabeł z zakrwawionym wolim rogiem 53

Rozdział XXII Przebrania Jowisza, Merkurego i Wenus — oraz obietnica przebaczenia dla samego diabła 55

Rozdział XXIII Historia Klarusa, fałszywy prorok Anatoliusz i tunika, która rozpłynęła się w powietrzu 57

Rozdział XXIV Fałszywi Chrystusowie w Hispanii i diabeł przebrany za cesarza: „Nie uznam Chrystusa bez znaków Krzyża” 59

Rozdział XXV Wizyta autora u świętego Marcina: biskup, który umył nogi swojemu biografowi 62

Rozdział XXVI Portret wewnętrzny: kowadło kowala i cierpliwość wobec własnych kapłanów 65

Rozdział XXVII Zakończenie: świetlana twarz i odpowiedź dla zawistnych biskupów 67

Epilog narratora Co było dalej: śmierć świętego Marcina i początki 11 listopada 68

O tym wydaniu 70

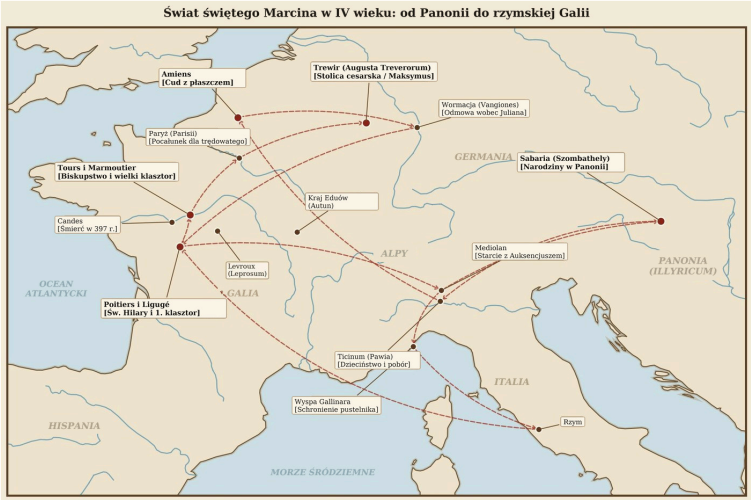
WSTĘP

Słowo wstępne narratora: człowiek ukryty za legendą

W dużej części Europy wystarczy, że nadejdzie 11 listopada, a imię świętego Marcina wraca do codziennych rozmów — razem z zapachem pieczonych kasztanów, młodym winem, pochodami z lampionami i tymi łagodnymi, słonecznymi dniami nie w porę, które tak wiele narodów nazywa „latem świętego Marcina". Prawie każdy zna obraz młodego rzymskiego żołnierza na koniu, który w mroźny zimowy dzień przeciął mieczem swój płaszcz na pół, żeby okryć trzęsącego się z zimna żebraka.

Mało kto jednak wie, że św. Marcin z Tours (ok. 316/336 – 397 n.e.) wcale nie jest mglistą postacią ze średniowiecznej legendy. Przeciwnie: to jedna z najlepiej udokumentowanych osobowości późnego Cesarstwa Rzymskiego. Jego biografię — *Żywot świętego Marcina* (*De vita beati Martini*) — napisał jeszcze za jego życia człowiek, który znał go osobiście, jadał przy jego stole i długo z nim rozmawiał: **Sulpicjusz Sewer**.

Sulpicjusz Sewer (ok. 363 – ok. 425) był błyskotliwym adwokatem, cenionym mówcą i arystokratą z Akwitanii, na południowym zachodzie dzisiejszej Francji. Kiedy około 396 roku postanowił napisać tę książkę, zachodnie Cesarstwo Rzymskie przechodziło głęboką przemianę. Chrześcijaństwo przestało być religią prześladowaną i stało się oficjalną wiarą cesarzy; w miastach przybywało wpływowych biskupów, ubranych w jedwabie i przyzwyczajonych do uczt na dworze, podczas gdy w wiejskich osadach (*pagi*) ludność nadal czciła święte drzewa i dawnych bogów celtycko-rzymskich.



Mapa historyczna: świat świętego Marcina w IV wieku — od miejsca urodzenia w Sabarii (Panonia) i wojskowej młodości w Ticinum, Amiens i Wormacji po klasztory w Ligugé i Marmoutier oraz diecezję Tours.

W samym środku tego zmieniającego się świata Marcin był dla elit prawdziwym zgorszeniem: były oficer gwardii cesarskiej, który odmówił walki, stojąc twarzą w twarz z przyszłym cesarzem Julianem; którego lud podstępem zmusił do objęcia biskupstwa w Tours, a który mimo to nigdy nie zgodził się zamieszkać w biskupim pałacu i wolał drewnianą chatę oraz szorstką tunikę z wielbłądziej sierści. Był to człowiek, który całował trędowatych u bram Paryża, stawiał czoło cesarzom w Trewirze, demaskował szarlatanów, a najsurowszych teologów zaszokował stwierdzeniem, że nawet sam diabeł otrzymałby od Boga przebaczenie, gdyby tylko był zdolny do skruchy.

W tym wydaniu pełny tekst Sulpicjusza Sewera został napisany na nowo **jasną, naturalną, współczesną polszczyzną**, z wiernym zachowaniem każdego epizodu i każdego szczegółu łacińskiego oryginału. Na końcu każdego rozdziału dołączam do ciebie jako narrator, żeby wyjaśnić rzymskie zwyczaje wojskowe, geografię epoki,

tło polityczne i kulturę IV wieku — szczegóły, które dla czytelników z czasów Sulpicjusza były oczywiste, a które dziś ogromnie pomagają nam uchwycić niezwykłą siłę tej opowieści.

LIST DEDYKACYJNY

List autora do przyjaciela Dezyderiusza o żywocie świętego Marcina

Sewer serdecznie pozdrawia swojego drogiego brata Dezyderiusza.

Mój bracie i wielki przyjacielu: postanowiłem trzymać w szufladzie, zamkniętą w czterech ścianach własnego domu, tę książeczkę, którą napisałem o życiu świętego Marcina. Z natury jestem niepewny siebie, więc chciałem oszczędzić sobie ludzkiej krytyki. Bałem się — i nadal myślę, że właśnie tak się stanie — że mój nieokrzesany styl nie spodoba się czytelnikom i że wszyscy będą mi wyrzucać, iż miałem czelność zabrać się za temat, który zasługiwał na pisarzy zupełnie innego talentu. Ale ty naciskałeś tak mocno, że nie potrafiłem ci odmówić. Bo w końcu czego bym nie zrobił dla naszej przyjaźni, nawet ryzykując własną reputację?

Oddałem ci więc tę książeczkę, ufając twojej obietnicy, że nie pokażesz jej nikomu innemu. Mimo to przyznaję się do obawy, że to właśnie ty otworzysz jej drzwi na świat — a kiedy już raz się wymknie, nie da się jej zawołać z powrotem.

Jeśli tak się stanie i zobaczysz, że niektórzy zaczynają ją czytać, poproś ich, proszę, żeby większą wagę przywiązywali do wydarzeń niż do stylu i żeby byli cierpliwi, kiedy jakieś mniej zgrabne zdanie zazgrzyta im w uchu; przecież królestwo Boże nie opiera się na sztuce pięknego mówienia, lecz na wierze. Niech pamiętają także, że zbawienie świata

ogłosili nie wielcy mówcy, lecz rybacy — choć Bóg, gdyby uznał, że to czemuś służy, mógłby równie dobrze dokonać tego także przez mówców.

Prawda jest taka, że kiedy postanowiłem wziąć się do pracy — czując, że byłoby rzeczą niewybaczalną pozwolić, by zalety tak niezwykłego człowieka poszły w zapomnienie — obiecałem sobie, że nie będę się wstydził, jeśli wymknie mi się jakiś błąd gramatyczny. Nigdy nie byłem wielkim znawcą sztuki pisarskiej, a nawet to niewiele, czego się kiedyś nauczyłem, zapomniałem po tylu latach z braku wprawy.

Mimo wszystko, żeby oszczędzić mi kłopotu z tłumaczeniem się, jeśli naprawdę chcesz tę książkę wydać, usuń moje imię. Wystarczy, że zeskrobiesz podpis z pierwszej karty, tak żeby strona zamilkła — a raczej, i tylko to się liczy: niech książka mówi wyłącznie o historii, którą opowiada, a przemilczy imię człowieka, który ją napisał.

> **Kontekst narratora: fałszywa skromność wielkiego adwokata i „zeskrobywane" książki**
>
> Nie dajmy się zwieść literackiej skromności Sulpicjusza Sewera! Kiedy przeprasza za swój „nieokrzesany styl" i za możliwe „błędy gramatyczne" (*soloecismi*), sięga po klasyczny chwyt rzymskiej retoryki zwany *captatio benevolentiae* — sztukę zjednywania sobie sympatii czytelnika przez udawaną pokorę. W rzeczywistości Sulpicjusz był jednym z najlepiej wykształconych prawników i autorów rzymskiej Galii, do tego stopnia, że renesansowi humaniści nazwali go „chrześcijańskim Salustiuszem" ze względu na jakość jego łaciny.
>
> Za tymi słowami kryła się jednak całkiem realna dyskusja: pod koniec IV wieku rzymska elita, wychowana w klasycznych szkołach, patrzyła z góry na teksty biblijne, ponieważ były napisane łaciną prostą i bezpośrednią, daleką od wyrafinowanej prozy Cycerona. Przypominając, że Ewangelię ogłosili „nie wielcy mówcy, lecz rybacy", Sulpicjusz dowodzi, że prawda historyczna i duchowa liczy się o wiele bardziej niż literacki blask.
>
> Zwróć też uwagę na praktyczny szczegół na końcu listu: *„wystarczy, że zeskrobiesz podpis z pierwszej karty"* (*titulum fronti erade*). W późnej

starożytności nie było jeszcze druku; wydać książkę znaczyło wysłać pergaminowy rękopis dobrze ustosunkowanemu przyjacielowi — tutaj Dezyderiuszowi, innemu chrześcijańskiemu arystokracie z Akwitanii — żeby kopiści z jego domu mogli sporządzić nowe odpisy. Ponieważ pergamin (wyprawiona skóra zwierzęca) był drogi i bardzo wytrzymały, imię autora usuwało się dosłownie: zeskrobując zaschnięty atrament ostrzem albo pumeksem. Oczywiście Dezyderiusz żadnego imienia nie zeskrobał: rozpowszechnił książkę na wszystkie strony, a dzieło stało się pierwszym wielkim bestsellerem zachodniej literatury chrześcijańskiej!

ROZDZIAŁ I

Dlaczego święte życie jest warte więcej niż sława Hektora czy Sokratesa

Wielu ludzi, opętanych świeckimi studiami i żądzą prestiżu, wmówiło sobie, że zdołają unieśmiertelnić własne imię, pisząc biografie sławnych postaci. To prawda, że ten wysiłek nie dał im wieczności, ale przyniósł im odrobinę tego, o co zabiegali: z jednej strony zostawili po sobie imię, o którym świat pamięta, choć niewiele to warte; z drugiej — opowiadając o życiu wybitnych mężów, budzili w czytelnikach wielkie pragnienie pójścia za tymi przykładami. Tyle że nic z tego nie pomagało w osiągnięciu życia naprawdę szczęśliwego i wiecznego.

Co im w końcu przyszło ze sławy ich książek, skoro i ona jest skazana na to, by przeminąć razem z tym światem? I co zyskały późniejsze pokolenia, czytając o bitwach Hektora albo o filozoficznych dyskusjach Sokratesa? Chcieć ich naśladować to już dość niemądre; nie sprzeciwiać się stanowczo tym poglądom to czyste szaleństwo. Ponieważ mierzyli ludzkie życie wyłącznie tym, czego dokonuje się tu, na ziemi, pokładali nadzieję w legendach, a swoje dusze oddali grobowi. Wierzyli, że wystarczy przetrwać w ludzkiej pamięci, podczas gdy prawdziwym celem

człowieka powinno być szukanie życia wiecznego, a nie wiecznej sławy — czegoś, co zdobywa się nie pisaniem, wojowaniem czy filozofowaniem, lecz życiem prawym, dobrym i wiernym Bogu.

Ten błąd, przekazywany przez książki z pokolenia na pokolenie, miał taką siłę, że skłonił bardzo wielu ludzi do naśladowania już to owej pustej filozofii, już to owego fałszywego ideału wojennego męstwa. Właśnie dlatego uważam, że naprawdę warto napisać biografię człowieka rzeczywiście świętego, takiego, który w przyszłości będzie mógł być natchnieniem dla innych. Kto wie, czy czytając ją, wielu nie poczuje się wezwanych do prawdziwej mądrości, do służby Bogu i do prawego życia. A robiąc to, myślę także o własnym dobru: nie liczę na to, że stanę się sławny wśród ludzi, ale na to, że otrzymam od Boga trwałą nagrodę. Bo nawet jeśli sam nie zdołałem żyć tak, żeby dawać przykład, to przynajmniej zrobiłem, co było w mojej mocy, żeby dać poznać kogoś, kto naprawdę zasługuje na naśladowanie.

Zacznę więc opowiadać o życiu świętego Marcina i pokażę, kim był zarówno zanim został biskupem, jak i po objęciu swojej diecezji. Oczywiście nie udało mi się dowiedzieć o wszystkim, czego dokonał: zdarzenia, których świadkiem był tylko on sam, pozostają tajemnicą, bo Marcin nigdy nie szukał pochwał i gdyby to zależało wyłącznie od niego, wolałby ukryć wszystkie swoje dobre uczynki. Co więcej, nawet z tego, co do mnie dotarło, wiele pominąłem, bo uznałem, że wystarczy wybrać chwile najbardziej uderzające — choćby po to, żeby nie męczyć czytelnika nadmiarem przypadków. Proszę czytelników tylko o to, żeby zaufali temu, co tu napisano, i byli pewni, że nie przelałem na papier niczego, czego wcześniej bardzo starannie nie sprawdziłem. Gdybym miał jakiekolwiek wątpliwości, wolałbym zamilknąć niż opowiadać kłamstwa.

> **Kontekst narratora: Hektor, Sokrates i wynalezienie nowego wzoru bohatera**
>
> W tym pierwszym rozdziale Sulpicjusz Sewer zwraca się wprost do wykształconej publiczności Cesarstwa Rzymskiego. W rzymskiej szkole IV wieku całe nauczanie obracało się wokół dwóch wielkich punktów odniesienia: wojennej epiki Homera — którą reprezentuje **Hektor**, trojański bohater *Iliady* — oraz greckiej tradycji filozoficznej — którą reprezentuje **Sokrates**.
>
> Przeciwstawiając im Marcina, Sulpicjusz rozpoczyna małą rewolucję kulturalną: proponuje, żeby bohatera wojennego i starożytnego filozofa zastąpił nowy wzór człowieka — człowiek wiary, który zaciąga się do *coelestis militia*, „służby wojskowej Nieba". Zwróć też uwagę na zobowiązanie z końca rozdziału: jako były adwokat, przyzwyczajony do dowodzenia faktów przed sądem, Sulpicjusz zaręcza, że zamieścił wyłącznie relacje zebrane od wiarygodnych naocznych świadków albo usłyszane z ust samego Marcina.

ROZDZIAŁ II

Z Panonii do Italii: chłopiec, który uciekł do kościoła i został zaprowadzony do wojska w łańcuchach

Marcin urodził się w Sabarii, mieście w prowincji Panonia, ale dorastał w Italii, w Ticinum. Jego rodzina miała, jak na ówczesne miary, dobrą pozycję społeczną, lecz rodzice byli poganami. Ojciec zaczynał życie wojskowe jako zwykły żołnierz, a później awansował do stopnia trybuna wojskowego.

W młodości także Marcin poszedł drogą kariery wojskowej: służył w konnicy gwardii cesarskiej za panowania cesarza Konstancjusza, a potem pod dowództwem cezara Juliana. Nie był to jednak jego własny wybór: ten niezwykły chłopiec od najmłodszych lat myślał wyłącznie o służbie Bogu. Miał zaledwie dziesięć lat, kiedy wbrew woli rodziców

uciekł do kościoła i poprosił o przyjęcie do grona katechumenów. Niedługo potem, już całkowicie zwrócony ku sprawom Bożym w sposób zdumiewający jak na swój wiek, jako dwunastolatek marzył o tym, żeby zamieszkać jako pustelnik na pustyni — i zrobiłby to, gdyby nie był jeszcze tak młody i słaby. Mimo to, myślami zawsze przy klasztorach albo przy kościele, już jako dziecko nosił w sercu to, co później miał z takim oddaniem urzeczywistnić.

Tymczasem cesarze wydali dekret, który zobowiązywał synów weteranów do wstąpienia do wojska. Rodzony ojciec Marcina — który nie mógł znieść religijnych skłonności syna — zadenuncjował go i wydał władzom. I tak, mając zaledwie piętnaście lat, Marcin został pojmany, zakuty w łańcuchy i zmuszony do złożenia przysięgi wojskowej. Wziął ze sobą tylko jednego niewolnika do posługi, ale zupełnie odwrócił zwyczajowe role: to pan usługiwał słudze. Najczęściej to sam Marcin zdejmował mu buty i je czyścił, a do jedzenia siadali obaj razem przy jednym stole, przy czym prawie zawsze posiłek podawał Marcin.



W Ticinum (Pawia) młody żołnierz Marcin, zaledwie piętnastoletni, wywraca rzymską hierarchię do góry nogami i klęka w namiocie, żeby zdjąć i wyczyścić wojskowe buty własnego sługi.

Zanim został ochrzczony, spędził w wojsku prawie trzy lata, ale zawsze trzymał się z dala od wad, w które zwykle popadają żołnierze. Towarzyszy broni traktował z ogromną życzliwością i niezwykłą hojnością, a jego cierpliwość i pokora zdawały się przekraczać ludzkie siły. Co do prostoty, z jaką żył, nie trzeba jej nawet chwalić: prowadził życie tak surowe, że już wtedy przypominał bardziej mnicha niż żołnierza. Takim sposobem bycia tak zjednał sobie towarzyszy, że wszyscy darzyli go ogromnym szacunkiem i sympatią.

Choć nie przyjął jeszcze chrztu, w praktyce żył już jak prawdziwy chrześcijanin — świadczyły o tym jego uczynki: pomagał ludziom w kłopotach, wspierał najbardziej nieszczęśliwych, karmił głodnych i dawał ubranie tym, którzy nie mieli co na siebie włożyć. Z żołdu nie zostawiał dla siebie nic poza tym, czego potrzebował, żeby mieć co jeść każdego dnia; już wtedy brał na serio słowa Ewangelii i nie troszczył się o jutro.

🎙️ Kontekst narratora: oddziały elitarne, przymusowy pobór i oficer, który czyścił buty swojemu niewolnikowi

Mamy tu kilka fascynujących szczegółów historycznych z IV wieku:

1. **Geografia: Sabaria**, gdzie urodził się Marcin (w 316 roku według tradycyjnej chronologii albo około 336 roku według nowszych badań), to dzisiejsze miasto Szombathely na Węgrzech, które należało do rzymskiej prowincji Panonia. **Ticinum**, gdzie dorastał, to dzisiejsza **Pawia** w północnych Włoszech, w tamtych czasach ważne miasto garnizonowe.

2. **Ojciec trybun i donos we własnym domu:** ojciec Marcina przeszedł w rzymskiej armii wszystkie szczeble: zaczynał jako szeregowy żołnierz (*miles*), a doszedł do stopnia **trybuna wojskowego** (*tribunus militum*) — wyższego oficera o statusie ekwity i z dobrym dochodem. W późnym Cesarstwie Rzymskim, ponieważ do obrony granic ciągle brakowało ludzi, państwo wprowadziło dziedziczne prawa, które zobowiązywały synów weteranów do kariery wojskowej. Dla starego pogańskiego oficera, oddanego bogom wojny, widok piętnastoletniego syna, który chce zostać chrześcijańskim mnichem, był hańbą nie do przyjęcia — i dlatego to sam ojciec wydał go werbownikom, żeby odprowadzili go w kajdanach!

3. **Gwardia pałacowa (*scholares alae*):** Marcin nie trafił do zwykłego oddziału piechoty, ale do *Scholae Palatinae*, elitarnej jazdy, która stanowiła osobistą eskortę cesarza (**Konstancjusza II**, syna Konstantyna) i cezara (**Juliana**). Były to oddziały prestiżowe, dobrze opłacane i z prawem do osobistego sługi.

4. **Kim był „katechumen”?** W IV wieku niemowlęta chrzczono rzadko. Kto chciał zostać chrześcijaninem, najpierw wstępował do *katechumenatu* — był to trwający kilka lat etap duchowego przygotowania i moralnej próby.

5. **Odwrócenie ról z niewolnikiem:** w społeczeństwie rzymskim ściąganie ciężkich wojskowych butów (*caligae* albo *calciamenta*) i zeskrobywanie z nich błota było najpodlejszym zajęciem niewolnika. Widok młodego oficera gwardii cesarskiej, który czyści buty własnemu słudze i usługuje mu przy stole, był dla ówczesnej mentalności czymś zupełnie nie do pomyślenia.

ROZDZIAŁ III

Płaszcz przecięty na pół u bram Amiens i widzenie Chrystusa

Pewnego razu, w czasie gdy nie miał już przy sobie nic poza bronią i zwykłym wojskowym płaszczem, w środku zimy o wiele ostrzejszej niż zwykle — przy mrozie tak srogim, że wielu ludzi zamarzało na śmierć na ulicach — Marcin natknął się u bram miasta Amiens na zupełnie nagiego biedaka. Żebrak prosił przechodniów, żeby się nad nim zlitowali, ale wszyscy szli dalej, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Ten pełen wiary młody człowiek od razu zrozumiał, że skoro nikt inny nie przychodzi nieszczęśnikowi z pomocą, to Bóg powierzył go właśnie jemu.

Ale co mógł zrobić? Nie zostało mu nic oprócz wojskowego płaszcza, który miał na sobie, bo wszystko inne rozdał już innym potrzebującym. Dobył więc miecza, który nosił u pasa, przeciął płaszcz dokładnie na pół, jedną połowę dał biedakowi, a pozostałą część z powrotem zarzucił sobie na ramiona. Niektórzy z tych, którzy przyglądali się tej scenie, wybuchnęli śmiechem, bo żołnierz z obciętą połową płaszcza wydał im się śmieszny; wielu innych jednak, o wrażliwszym sumieniu, poczuło głęboki wstyd, że sami nie zrobili niczego podobnego, choć mieli aż nadto środków, żeby ubrać tego człowieka i samemu nie zmarznąć.



U bram Amiens, w mroźną zimę, Marcin przecina mieczem na pół swój biało-szkarłatny płaszcz gwardii pałacowej, żeby okryć nagiego biedaka na śniegu.

Następnej nocy, kiedy zasnął, Marcin zobaczył we śnie Chrystusa ubranego w tę samą połowę płaszcza, którą dał żebrakowi. Poczuł, że ma uważnie przyjrzeć się Panu i rozpoznać okrycie, które podarował. Zaraz potem usłyszał, jak Jezus mówi wyraźnym głosem do otaczającej Go rzeszy aniołów: „Marcin, który jest dopiero katechumenem, okrył mnie tym płaszczem!”

Wierny słowom, które sam wypowiedział w Ewangelii — *„Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”* — Pan pokazywał w ten sposób, że to On sam został okryty w osobie tamtego biedaka; a żeby potwierdzić wartość tego gestu, zechciał ukazać się ubrany dokładnie w ten kawałek tkaniny, który dostał żebrak. Mimo tego widzenia Marcin nie wbił się w pychę. Przeciwnie: rozpoznając w tym wszystkim dobroć Boga, gdy tylko skończył osiemnaście lat, pospieszył przyjąć chrzest. Mimo to nie od razu odszedł z wojska, bo uległ usilnym prośbom swojego trybuna, który był jego bliskim przyjacielem i towarzyszem z namiotu; dowódca ten obiecał mu

bowiem, że gdy tylko upłynie jego własny czas służby wojskowej, on także porzuci życie świeckie. Trzymając się tej obietnicy, Marcin pozostał w wojsku jeszcze prawie dwa lata po chrzcie, choć żołnierzem był już wtedy tylko z nazwy.

Kontekst narratora: wojskowy płaszcz, pochodzenie słowa „kaplica" i lato świętego Marcina

Przeczytaliśmy właśnie najsłynniejszy epizod z życia świętego Marcina, który rozegrał się u bram *Samarobriva Ambianorum* — dzisiejszego miasta **Amiens** w północnej Francji — podczas mroźnej zimy w latach trzydziestych albo pięćdziesiątych IV wieku. Trzy ciekawostki jeszcze bardziej ożywiają tę scenę:

1. **Dlaczego Marcin przeciął płaszcz na pół, zamiast oddać go w całości?** W rzymskiej gwardii cesarskiej biały lub szkarłatny płaszcz wojskowy (*chlamys*, zimą często podbity owczą skórą) należał do regulaminowego umundurowania: połowa była własnością państwa rzymskiego, a za drugą połowę płacił żołnierz. Jeśli żołnierz stawił się na apelu zupełnie bez płaszcza, był karany za utratę wyposażenia! Przecinając go mieczem na pół, Marcin oddał wszystko, co było jego, a zatrzymał część obowiązkową — i wyglądał tak komicznie (*truncatus habitu*), że przechodnie się śmiali.

2. **Jak z połowy płaszcza Marcina wzięły się słowa „kaplica" i „kapelan":** wieki później ta połowa płaszcza świętego Marcina (nazywana w późnej łacinie *cappa*, „płaszczyk") stała się najcenniejszą relikwią królów frankijskich, którzy zabierali ją ze sobą nawet na bitwy. Małe sanktuarium, w którym przechowywali *cappa* świętego Marcina, zaczęto nazywać *capella* („miejsce płaszczyka"), a kapłani, którym powierzono opiekę nad nią, byli *capellani*. Stąd właśnie w prostej linii pochodzą słowa **kaplica** i **kapelan**!

3. **A „lato świętego Marcina"?** Jak widzisz w oryginalnym tekście Sulpicjusza Sewera, w IV wieku nie istniała jeszcze legenda o słońcu, które w tamtej chwili przebiło się przez chmury. Ta ludowa tradycja powstała wieki później, kiedy święto pogrzebu świętego Marcina (**11 listopada**) zbiegło się ze zwykłą pogodą połowy listopada — z szeregiem dni ciepłego słońca i czystego nieba przed zimą — na zawsze łącząc ludzkie ciepło gestu z płaszczem z jesiennym słońcem.

ROZDZIAŁ IV

Twarzą w twarz z Julianem w Wormacji: „Jestem żołnierzem Chrystusa; walczyć mi nie wolno”

Tymczasem ludy barbarzyńskie najechały Galię. Cezar Julian zebrał wtedy swoje wojsko w pobliżu miasta Wangionów i zaczął rozdawać żołnierzom specjalną premię pieniężną. Zgodnie ze zwyczajem wywoływano ich po kolei po imieniu, aż przyszła kolej na Marcina.

Uznawszy, że to właściwa chwila, by poprosić o zwolnienie z wojska — także dlatego, że przyjęcie pieniędzy wydawało mu się nieuczciwe, skoro wiedział, że nie pójdzie do walki — Marcin zwrócił się wprost do Juliana: „Do dziś służyłem tobie; pozwól, że teraz będę służył Bogu. Twoją premię niech weźmie ten, kto idzie do bitwy; ja jestem żołnierzem Chrystusa, walczyć mi nie wolno”.



W Wormacji (356 n.e.), przed trybunałem wojskowym i skrzyniami ze złotem cezara Juliana, Marcin odmawia przyjęcia premii przed kampanią: „Do dziś służyłem tobie; pozwól, że teraz będę służył Bogu. Jestem żołnierzem Chrystusa, walczyć mi nie wolno”.

Słysząc to, tyran wpadł we wściekłość i rzucił mu w twarz, że chce odejść z wojska nie z powodu wiary, lecz ze strachu przed bitwą wyznaczoną na następny dzień. Marcin nie dał się zastraszyć — a wobec tych gróźb stał się nawet jeszcze bardziej stanowczy — i odpowiedział: „Jeśli uważasz, że to tchórzostwo, a nie wiara, jutro stanę bez broni w pierwszym szeregu, przed naszymi oddziałami; i w imię Pana Jezusa, bez tarczy i bez hełmu, osłonięty tylko znakiem krzyża, przejdę bez lęku przez sam środek nieprzyjacielskich szyków”.

Julian kazał go natychmiast uwięzić, żeby zmusić go do dotrzymania słowa następnego dnia — naprzeciw barbarzyńców i bez broni. Ale z samego rana nieprzyjaciel przysłał posłów z prośbą o pokój: poddał się bezwarunkowo i oddał wszystko, co miał.

Kto wobec tego może wątpić, że to zwycięstwo było zasługą Marcina, którego Bóg w ten sposób uchronił przed rzuceniem bez broni na

pierwszą linię? Oczywiście Pan w swojej dobroci mógłby bez trudu zachować swojego żołnierza całego i zdrowego pośród nieprzyjacielskich mieczy i włóczni; wolał jednak odwrócić samą bitwę, żeby oczy Marcina nie musiały nawet oglądać śmierci innych ludzi. Bo w końcu jakie inne zwycięstwo miałby dać Chrystus swojemu żołnierzowi, jeśli nie to: pokonać wroga bez przelania kropli krwi i tak, żeby nikt nie zginął?

> 🎙 **Kontekst narratora: złota premia, Julian Apostata i jeden z pierwszych przypadków odmowy służby ze względu na sumienie**
>
> Jesteśmy w roku **356 n.e.**, w *Borbetomagus*, mieście ludu Wangionów — dzisiejszej **Wormacji** nad Renem, w Niemczech. Plemiona germańskie (Alamanowie i Frankowie) przekroczyły Ren i złupiły kilka miast w Galii.
>
> Na czele wojsk rzymskich stoi **cezar Julian**, bratanek Konstantyna, który kilka lat później zostanie cesarzem i przejdzie do historii jako **Julian Apostata** (361–363), ponieważ próbował przywrócić w Cesarstwie Rzymskim pogaństwo i odebrać chrześcijanom przywileje — dlatego Sulpicjusz ostro nazywa go „tyranem" (*tyrannus*).
>
> Żeby ocenić odwagę Marcina, warto zrozumieć, czym była ta wojskowa premia (*donativum*): oprócz zwykłego żołdu (*stipendium*) w przeddzień ważnej kampanii dowódca osobiście wręczał każdemu żołnierzowi hojną sumę w złotych monetach. Przyjęcie *donativum* było równoznaczne z odnowieniem przyrzeczenia honorowego, że w nadchodzącej bitwie będzie się walczyć do śmierci. Gdyby Marcin wziął złoto, a potem odmówił chwycenia za miecz, zostałby stracony za dezercję i kradzież; odmawiając przyjęcia pieniędzy publicznie, przy całym wojsku ustawionym w szyku, otwarcie rzucił wyzwanie władzy Juliana — to jeden z najsłynniejszych przypadków sprzeciwu sumienia w starożytności.

ROZDZIAŁ V

Święty Hilary z Poitiers, urząd egzorcysty i

zasadzka zbójców w Alpach

Gdy tylko porzucił życie wojskowe, Marcin udał się do świętego Hilarego, biskupa Poitiers — człowieka, którego wiarę i religijną mądrość wszyscy wtedy podziwiali — i przez jakiś czas u niego przebywał. Hilary chciał zatrzymać go przy sobie i włączyć do duchowieństwa diecezji, wyświęcając go na diakona. Ale Marcin raz po raz odmawiał i upierał się, że nie jest godny tak wielkiego urzędu. Hilary, człowiek niezwykle przenikliwy, zrozumiał, że jest tylko jeden sposób, żeby go przekonać: dać mu funkcję tak skromną, że będzie wyglądała niemal na degradację. Zaproponował mu więc, żeby został egzorcystą; i tym razem Marcin się zgodził, żeby nie sprawiać wrażenia, że gardzi tym stanowiskiem jako zbyt niskim.

Niedługo potem poczuł się we śnie wezwany, by odwiedzić ojczyznę i rodziców, którzy nadal trwali przy pogaństwie, i spróbować pomóc im dojść do wiary. Wyruszył za zgodą świętego Hilarego, który pozwolił mu odejść dopiero wtedy, gdy prośbami i łzami wymógł na nim obietnicę powrotu. Podobno Marcin ruszał w drogę z ciężkim sercem i uprzedzał towarzyszy, że czeka go wiele przeciwności — co podróż szybko potwierdziła.

Na początek, kiedy podczas przeprawy przez Alpy szedł odludnymi skrótami, wpadł w zasadzkę bandytów. Jeden z nich podniósł już nawet topór, żeby rozłupać mu głowę, ale inny zbójca w ostatniej chwili powstrzymał jego ramię. Mimo to związali mu ręce na plecach, obrabowali go z tego, co niósł, i zostawili pod strażą jednego z członków bandy. Ten zaprowadził go w ustronne miejsce i zaczął wypytywać, kim jest. Marcin odpowiedział, że jest chrześcijaninem. Zbójca zapytał, czy się boi. Marcin z całkowitym spokojem zapewnił go, że nigdy w życiu nie czuł się tak bezpieczny, bo wie, że Boża opieka nigdy nie zawodzi, zwłaszcza w chwilach największego niebezpieczeństwa; i dodał, że żal

mu raczej jego samego, bo wplątawszy się w zbrodnicze życie, odcina się od miłosierdzia Chrystusa.



W alpejskich wąwozach Marcin, z rękami związanymi na plecach, spokojnie opowiada o Ewangelii zbójcy, który pilnuje go z toporem w dłoni — i w końcu go nawraca.

Od razu, na miejscu, zaczął mu wyjaśniać Ewangelię i mówić o słowie Bożym. Nie ma potrzeby przeciągać tej opowieści: złodziej uwierzył w to, co usłyszał, odprowadził Marcina aż do głównej drogi, gdzie był już bezpieczny, a na pożegnanie poprosił, żeby się za niego modlił. Później okazało się, że człowiek ten całkowicie odmienił swoje życie i wstąpił do stanu zakonnego — podobno zresztą cała ta historia dotarła do nas z jego własnych ust.

Kontekst narratora: spryt świętego Hilarego i dlaczego funkcja „egzorcysty" była skromnym stanowiskiem

Święty Hilary z Poitiers (ok. 315–367) był wielkim autorytetem intelektualnym Kościoła w Galii — wybitnym teologiem i prawdziwym mistrzem duchowym Marcina.

> Jest w tym rozdziale szczegół, który zwykle zaskakuje każdego, kto ogląda dziś horrory: dlaczego Marcin nie chciał zostać **diakonem**, bo uważał się za niegodnego, a zgodził się zostać **egzorcystą**, bo to pokorna funkcja? W Kościele IV wieku **diakoni** byli prawą ręką biskupa: zarządzali finansami diecezji, organizowali pomoc dla ubogich i mieli ogromne znaczenie społeczne. **Egzorcysta** natomiast należał do tak zwanych „święceń niższych": było to dyskretne, podrzędne zadanie, polegające na towarzyszeniu katechumenom, dbaniu o kościół i opiece nad ludźmi zaburzonymi albo uznawanymi za opętanych, którzy żyli na marginesie wspólnoty. Hilary okazał się znakomitym psychologiem: zrozumiał, że przed prestiżowym urzędem Marcin ucieknie, ale że nigdy nie odmówi najniższego szczebla w Kościele — z obawy, że wyjdzie na pyszałka!

ROZDZIAŁ VI

Spotkanie z diabłem na drodze, publiczna chłosta i trucizna na wyspie Gallinara

Kiedy szedł dalej, już po minięciu Mediolanu, na drodze ukazał mu się diabeł w ludzkiej postaci i zapytał, dokąd idzie. Gdy Marcin odpowiedział, że idzie tam, dokąd wzywa go Pan, diabeł go ostrzegł: „Dokądkolwiek pójdziesz i czegokolwiek się podejmiesz, diabeł zawsze stanie ci na drodze!" Marcin odpowiedział mu od razu wersetem psalmu: *„Pan jest ze mną, nie lękam się: cóż może mi uczynić człowiek?"* I w tej samej chwili nieprzyjaciel zniknął mu sprzed oczu.

Kiedy wreszcie dotarł do ojczyzny, udało mu się spełnić część tego, czego tak bardzo pragnął: doprowadził matkę do porzucenia pogaństwa i przyjęcia wiary, choć ojciec uparcie nie chciał zmienić swojego życia. Po drodze jednak przykład Marcina skłonił do nawrócenia wielu innych ludzi.

W tamtym czasie herezja ariańska rozlała się po całym Cesarstwie, a szczególnie mocno panowała w regionie Ilirii. Marcin niemal w pojedynkę z ogromną odwagą przeciwstawił się miejscowym biskupom, którzy bronili tej doktryny. Drogo zapłacił za tę otwartość: był ostro prześladowany, wychłostany rózgami na placu publicznym, a w końcu wypędzony z miasta. Wrócił wtedy do Italii, ale gdy dowiedział się, że i w Galii Kościół przeżywa wielkie trudności, bo heretykom udało się skazać świętego Hilarego na wygnanie, postanowił założyć mały klasztor w Mediolanie. Nawet tam nie zaznał spokoju: Auksencjusz, główny przywódca arian w mieście, rozpętał przeciw niemu zaciekłe prześladowanie, a po tym, jak obrzucił go wszelkimi zniewagami i obelgami, wyrzucił go z Mediolanu.

Uznawszy, że rozsądniej będzie przeczekać burzę, Marcin schronił się na małej wyspie o nazwie Gallinara, w towarzystwie pewnego kapłana wielkiej cnoty. Żył tam przez jakiś czas, żywiąc się tylko korzeniami i dzikimi ziołami. Któregoś dnia, nie zdając sobie z tego sprawy, zjadł ciemiernik, bardzo trującą roślinę. Kiedy poczuł, że trucizna rozchodzi się po jego ciele, i zrozumiał, że stoi u progu śmierci, zaczął się modlić ze wszystkich sił: niebezpieczeństwo minęło, a bóle całkowicie ustąpiły. Niedługo potem dowiedział się, że cesarz, żałując swojej wcześniejszej decyzji, pozwolił świętemu Hilaremu wrócić z wygnania; Marcin natychmiast wyruszył do Rzymu w nadziei, że spotka go w drodze powrotnej.

> **Kontekst narratora: kryzys ariański i bezludna wyspa Marcina**
>
> Żeby zrozumieć, dlaczego Marcin został **wychłostany na placu publicznym** na Bałkanach (w prowincji *Illyricum*, która obejmowała Panonię oraz część dzisiejszej Chorwacji i Serbii) i wypędzony z **Mediolanu**, musimy przyjrzeć się największemu sporowi religijnemu IV wieku: **arianizmowi**.
>
> Ariusz, kapłan z Aleksandrii, nauczał, że Jezus Chrystus nie jest odwiecznym Bogiem, równym Ojcu, lecz pierwszym i najdoskonalszym stworzeniem

powołanym przez Boga do istnienia. Chociaż Sobór Nicejski (325) potępił ten pogląd, cesarz **Konstancjusz II** stanął po stronie biskupów ariańskich: skazał na wygnanie biskupów wiernych Nicei (takich jak święty Hilary z Poitiers, zesłany w 356 roku na tereny dzisiejszej Turcji), a ważne stolice biskupie, na przykład cesarską stolicę Mediolan, oddał biskupom ariańskim, takim jak **Auksencjusz**.

Ponieważ w miastach kontrolowanych przez arian nie było dla niego miejsca, Marcin poszukał schronienia na **wyspie Gallinara** (*Isola Gallinara*), małej skalistej wysepce u wybrzeży Ligurii (niedaleko Albengi, w północnych Włoszech). Żył tam jako pustelnik, jedząc dzikie korzenie — aż do dnia, w którym pomylił jakiś korzeń z **ciemiernikiem**, toksyczną rośliną, która może spowodować zatrzymanie akcji serca.

ROZDZIAŁ VII

Klasztor w Ligugé i pierwszy cud: katechumen, który wrócił do życia

Ponieważ Hilary zdążył już przejechać przez Rzym, zanim Marcin tam dotarł, Marcin poszedł jego śladem do Poitiers. Hilary przyjął go z ogromną radością, a niedługo potem Marcin założył mały klasztor na obrzeżach miasta. Wkrótce dołączył do niego młody katechumen, który chciał się uczyć życia pod kierunkiem tak podziwianego mistrza; ale po kilku dniach młodzieniec położył się do łóżka z bardzo wysoką gorączką.

Niestety Marcin musiał wyjechać w podróż i nie było go przez trzy dni. Kiedy wrócił, zastał go już martwego: choroba była tak gwałtowna, że młody człowiek odszedł, nie zdążywszy nawet przyjąć chrztu. Ciało leżało na środku izby, otoczone zapłakanymi mnichami, którzy przygotowywali pogrzeb, kiedy Marcin wbiegł do środka, gorzko płacząc.

Kierowany głębokim wewnętrznym natchnieniem, poprosił wszystkich, żeby wyszli z małej celi, w której leżało ciało, zamknął drzwi od środka

na klucz i położył się na martwym bracie. Pozostawał tak przez jakiś czas, modląc się żarliwie, aż poczuł w głębi duszy, że działa moc Boża. Wtedy podniósł się nieco i nie odrywał wzroku od twarzy młodzieńca, czekając z pełną ufnością na owoc swojej modlitwy i miłosierdzia Pana. Nie minęły dwie godziny, kiedy zobaczył, że całe ciało zaczyna bardzo powoli się poruszać, a powieki drżą i znów otwierają się na światło. Głęboko wzruszony Marcin zaczął dziękować Bogu tak donośnym głosem, że okrzyki radości wypełniły całą celę. Słysząc to, mnisi, którzy czekali na zewnątrz pod drzwiami, natychmiast wpadli do środka — i oniemieli, widząc żywego tego, którego zostawili martwego!



W klasztorze w Ligugé — najstarszym w Europie — po dwóch godzinach żarliwej modlitwy Marcina młody katechumen, który zmarł bez chrztu, otwiera oczy i wraca do życia, ku zdumieniu mnichów.

Przywrócony do życia młodzieniec został od razu ochrzczony i żył jeszcze wiele lat, stając się wśród nas pierwszym żywym świadkiem cudów Marcina. Sam opowiadał, co się z nim działo po opuszczeniu ciała: zaprowadzono go przed oblicze najwyższego Sędziego, a ponieważ nie był jeszcze ochrzczony, usłyszał właśnie surowy wyrok, który posyłał go

w mroczne miejsce, pomiędzy bezimienny tłum. W tej jednak chwili dwaj aniołowie powiadomili Sędziego, że to właśnie ten młodzieniec, za którego modli się Marcin. Na rozkaz Sędziego ci sami aniołowie przyprowadzili go z powrotem, oddali Marcinowi i przywrócili do życia. Od tego dnia sława Marcina rozeszła się wszędzie: człowieka, którego wszyscy już uważali za świętego, zaczęto podziwiać także za moc jego cudów i porównywać z samymi Apostołami.

> 🎙️ **Kontekst narratora: najstarszy klasztor Europy i relacja z pogranicza śmierci z IV wieku**
>
> Mała wspólnota, którą Marcin stworzył pod Poitiers około **361** roku, to **Ligugé** — uznawane przez historyków za **najstarszy klasztor Europy Zachodniej**, założony ponad półtora wieku przed świętym Benedyktem!
>
> Zwróć uwagę na dwa ciekawe szczegóły tego epizodu:
>
> 1. **Gest dawnych proroków:** kiedy Marcin zamyka drzwi izby i kładzie się na zmarłym młodzieńcu, powtarza dokładnie gest proroków Eliasza (1 Krl 17,21) i Elizeusza (2 Krl 4,34) ze Starego Testamentu.
>
> 2. **Lęk przed śmiercią bez chrztu:** dlaczego młodzieniec mówi, że miał zostać posłany w „mroczne miejsce" (*obscuris locis*)? Dla chrześcijan IV wieku śmierć w stanie katechumena, przed chrztem, pozbawiała duszę pełnego wejścia do światła — a opis ten jest zarazem jedną z najstarszych w literaturze zachodniej relacji o tym, co dziś nazwalibyśmy doświadczeniem śmierci klinicznej.

ROZDZIAŁ VIII

Młody niewolnik Lupicyna ocalony od śmierci

Niedługo potem, gdy przechodził przez posiadłości Lupicyna, człowieka bardzo ważnego i wysoko postawionego, Marcin usłyszał z daleka krzyki i rozpaczliwy płacz tłumu. Zaniepokojony podszedł do domu, żeby zapytać, co się stało, i dowiedział się, że młody niewolnik z tego majątku właśnie odebrał sobie życie przez powieszenie.

Gdy tylko się o tym dowiedział, Marcin wszedł do izdebki, w której złożono ciało, poprosił wszystkich, żeby wyszli, położył się na młodzieńcu i przez jakiś czas trwał na modlitwie. Wkrótce na policzki młodego człowieka zaczęły wracać kolory, a jego zgasłe już oczy odzyskały blask i utkwiły w twarzy Marcina. Z powolnym wysiłkiem, próbując się podnieść, młodzieniec chwycił prawą rękę Marcina, stanął na nogi i o własnych siłach, ręka w rękę z nim, wyszedł aż na dziedziniec przy wejściu, na oczach wszystkich tych niedowierzających ludzi.

> 🎙️ **Kontekst narratora: współczucie dla najsłabszych w wielkich rzymskich majątkach**
>
> Lupicyn był kimś, kogo Rzymianie nazywali *vir honoratus* — wielkim właścicielem ziemskim z arystokracji senatorskiej, panem ogromnego majątku rolnego (*villa*), w którym pracowały dziesiątki albo setki niewolników (*familia* w rzymskim znaczeniu tego słowa).
>
> Tym, co czyni ten krótki rozdział tak poruszającym, jest reakcja Marcina na samobójstwo biednego niewolnika (*servulus*). Podczas gdy w kolejnych stuleciach prawo kościelne miało potępiać samobójstwo z ogromną surowością, posuwając się nawet do zakazu chrześcijańskiego pogrzebu, Marcin nie wygłasza żadnego kazania i nie boi się dotknąć młodego człowieka, który w rozpaczy zakończył swoje życie: wchodzi do jego izby, modli się nad jego ciałem i wyprowadza młodzieńca za rękę na dziedziniec, na oczach pana i całej służby domu.

ROZDZIAŁ IX

„Porwanie", żeby zrobić go biskupem Tours, i upokorzenie biskupa Defensora

Mniej więcej w tym czasie wierni Kościoła w Tours zapragnęli mieć Marcina za biskupa. Ponieważ wiedzieli, że wcale nie będzie łatwo wyciągnąć go z klasztoru, pewien mieszkaniec Tours imieniem

Rurycjusz wymyślił podstęp: udał, że jego żona jest umierająca, i rzucając się na kolana u stóp Marcina, błagał tak usilnie, że namówił go, by z nim poszedł. Po drodze czekały już umówione wcześniej grupy mieszkańców; otoczyły go na szlaku i niemal pod strażą doprowadziły do Tours.

Czekał tam na niego imponujący tłum, który przybył nie tylko z Tours, ale i z sąsiednich miast, żeby głosować nad wyborem nowego biskupa. Wśród ludu nie było dwóch zdań: wszyscy chcieli tego samego i jednym głosem mówili, że nikt nie zasługuje na biskupstwo bardziej niż Marcin i że szczęśliwa będzie diecezja, która będzie miała na czele takiego człowieka. Była jednak niewielka grupa przeciwników — w tym niektórzy biskupi wezwani do miasta na obrzęd święceń — którzy za wszelką cenę próbowali ten wybór zablokować. Mówili otwarcie, że Marcin to człowiek bez żadnej pozycji, że nie ma prezencji biskupa, że chodzi źle ubrany, w brudnych szatach i z rozczochranymi włosami. Ale lud, mający o wiele więcej zdrowego rozsądku niż oni, śmiał się z uporu tych dostojników, którzy, próbując poniżyć tak godnego podziwu człowieka, tylko wygłaszali jego pochwałę. W końcu nie mieli innego wyjścia, jak go konsekrować — pod naciskiem woli ludu i Bożych zamysłów.

Podobno wśród obecnych biskupów najzacieklej zwalczał Marcina człowiek, który nazywał się — nie do wiary — Defensor, i tego samego dnia został publicznie upokorzony przez coś, co wszyscy uznali za proroczy znak. Tak się złożyło, że lektor, który miał podczas obrzędu czytać Pismo, nie zdołał przecisnąć się przez tłum i utknął na zewnątrz. Podczas gdy kapłani przy ołtarzu czekali zmieszani, nie wiedząc, co robić, jeden z obecnych wziął do ręki księgę Psalmów, otworzył ją na chybił trafił i zaczął czytać na głos pierwszy werset, na który padł jego wzrok. A psalm mówił tak: *„Z ust dzieci i niemowląt wydobyłeś doskonałą chwałę na przekór swoim przeciwnikom, aby pokonać nieprzyjaciela i obrońcę”.*

Ledwie te słowa rozbrzmiały w kościele, cały lud wybuchnął potężnym okrzykiem, a przeciwnicy zostali zupełnie rozbrojeni i okryci wstydem. Nikt nie wątpił, że ten psalm wypadł z woli Boga, żeby biskup Defensor od razu, na miejscu, usłyszał potępienie swojej intrygi: głosem prostych ludzi została potwierdzona chwała Boża w Marcinie, a zarazem z przeciwnika opadła maska.

Kontekst narratora: wybory ludowe w Kościele, biskupi z wyższych sfer i gra słów z „Defensorem"

Jest **4 lipca 371 roku**, dzień, w którym Marcin został konsekrowany na biskupa Tours (*Caesarodunum Turonum*). Ten epizod doskonale pokazuje trzy bardzo żywe strony Kościoła IV wieku:

1. **Jak wybierano biskupa:** w starożytności biskupów nie mianował na odległość Rzym; wybierali ich bezpośrednio, na otwartym zgromadzeniu, chrześcijanie danego miasta (*ad suffragia ferenda*) razem z miejscowymi kapłanami i biskupami sąsiednich diecezji. Kiedy bardzo kochany przez lud mnich nie chciał przyjąć urzędu, mieszkańcy uciekali się czasem do „przyjacielskiego porwania" — dokładnie tak, jak zrobił to Rurycjusz!

2. **Zderzenie wytwornych biskupów z rozczochranym mnichem:** dlaczego inni biskupi kręcili nosem na znoszone ubranie Marcina i jego długie, nieuczesane włosy? Dlatego, że w drugiej połowie IV wieku biskupstwo w rzymskim mieście było już stanowiskiem o wielkim prestiżu społecznym, zajmowanym przede wszystkim przez byłych senatorów, wysokich urzędników i wielkich właścicieli ziemskich, przyzwyczajonych do nieskazitelnych tunik i dobrych manier arystokracji. Wygląd ubogiego pustelnika, z nieprzystrzyżoną brodą i włosami, naruszał wszystkie zasady etykiety tej grupy.

3. **Wybuchowy zbieg okoliczności z Psalmem 8,3:** dlaczego to czytanie wywołało taką burzę? W dzisiejszych przekładach Biblii werset ten brzmi: *„aby poskromić nieprzyjaciela i mściciela"*. Ale w *Vetus Latina* — starym łacińskim przekładzie używanym w Galii w czasach Marcina — słowo oddane tu jako „mściciel" brzmiało dosłownie **defensorem** (*„ut destruas inimicum et defensorem"*)! Ponieważ przywódca opozycji przeciw Marcinowi nazywał się **Defensor**, to, że ktoś na chybił trafił odczytał *„aby pokonać nieprzyjaciela i*

> *Defensora"*, zabrzmiało dla wszystkich jak bezpośrednia odpowiedź Boga — i to po imieniu!

ROZDZIAŁ X

Biskup, który mieszkał w drewnianej chacie: założenie Marmoutier

Kiedy już został biskupem, Marcin okazał taką wielkość ducha, że trudno mi znaleźć słowa, żeby ją opisać. Pozostał dokładnie tym samym człowiekiem, którym był zawsze: ta sama pokora serca, to samo ubóstwo w ubiorze. Pełen naturalnego autorytetu i wdzięku, w całości wypełniał obowiązki biskupa, nigdy nie rezygnując z prostego, surowego życia mnicha.

Na początku mieszkał jeszcze w małej izbie przylegającej do miejskiego kościoła. Ponieważ jednak nie mógł znieść nieustannego napływu ludzi, którzy pukali do jego drzwi, postanowił założyć klasztor jakieś trzy kilometry od Tours. Miejsce było tak ciche i ukryte, że przypominało prawdziwą pustynię: z jednej strony wznosiła się stroma ściana skalnego urwiska, z drugiej rzeka Loara obejmowała niewielką równinę łagodnym zakolem. Prowadziła tam tylko jedna ścieżka, i to bardzo wąska.



Opactwo Marmoutier na obrzeżach Tours: między wapienną skarpą, w której wydrążono groty, a zakolem Loary najmłodsi uczniowie oddają się przepisywaniu rękopisów.

Marcin zbudował sobie prostą chatę z drewna i plecionych gałęzi, a kilku mnichów zrobiło to samo; większość jednak wykuła sobie schronienie bezpośrednio w miękkiej skale zbocza. Mieszkało tam osiemdziesięciu uczniów, a każdy starał się naśladować przykład mistrza. Nikt nie miał niczego na własność; wszystko należało do wszystkich i nie wolno było niczego kupować ani sprzedawać — inaczej niż robiło to już wielu innych mnichów.

Nikt nie uprawiał tam żadnego rzemiosła, z jednym jedynym wyjątkiem: przepisywania ksiąg — a to zadanie powierzano najmłodszym, żeby starsi mogli w pełni poświęcić się modlitwie. Mało kto wychodził ze swojej celi, chyba że na godzinę wspólnej modlitwy. Wszyscy jedli jeden wspólny posiłek pod koniec dnia, po zakończeniu postu, a wina nie pił nikt, chyba że był chory i potrzebował go jako lekarstwa. Prawie wszyscy nosili szorstkie tuniki z wielbłądziej sierści; noszenie miękkich tkanin uważano tam za poważne przewinienie — co robi tym większe wrażenie, jeśli pamiętamy, że wielu z tych mnichów pochodziło ze szlacheckich

rodów, wychowało się w wygodach i wybrało to twarde, pokorne życie z własnej woli. Później widzieliśmy, jak kilku z nich zostało biskupami; bo w końcu które miasto, która diecezja nie marzyła o tym, żeby mieć na czele kapłana ukształtowanego w klasztorze Marcina?

> **Kontekst narratora: groty nad Loarą i kolebka średniowiecznych kopistów**
>
> Schronienie, które Marcin stworzył dwie mile rzymskie (około 3 kilometrów) od Tours, wciśnięte między wapienne zbocze a rzekę Loarę (*Liger*), miało się stać słynnym opactwem **Marmoutier** (*Maius Monasterium*). Skała na tym brzegu Loary to *tuffeau*, biały wapień łatwy do drążenia, w którym do dziś można zwiedzać groty wykute przez mnichów Marcina!
>
> Dwa szczegóły z tego rozdziału wywarły ogromny wpływ na historię Europy:
>
> 1. **Wyłączne poświęcenie się przepisywaniu ksiąg (*scriptores*):** podczas gdy mnisi z egipskich pustyń pletli kosze albo sznury, żeby zarobić na chleb, Marcin wprowadził w Marmoutier zasadę nową na Zachodzie: jedyną pracą ręczną w klasztorze było **ręczne przepisywanie ksiąg**. Każąc najmłodszym mnichom kopiować rękopisy, Marcin zasiał ziarno przyszłych średniowiecznych *scriptoria*, które podczas upadku Cesarstwa Rzymskiego ocaliły dużą część kultury starożytnej i chrześcijańskiej.
>
> 2. **Szkółka nowych biskupów:** przyciągając młodych ludzi z rzymskiej arystokracji (*nobiles*) do życia wyzbytego własności i poświęconego studiowaniu Pisma, Marmoutier zamieniło się w prawdziwą szkołę duchową, z której wyszło wielu biskupów odnawiających Kościół w Galii.

ROZDZIAŁ XI

Fałszywy męczennik zdemaskowany: duch zbrodniarza przy ołtarzu

Przejdźmy teraz do innych godnych podziwu rzeczy, których Marcin dokonał jako biskup. Niedaleko miasta, tuż obok klasztoru, znajdował

się grób, do którego ludzie przywykli chodzić na modlitwę, przekonani, że pochowano tam chrześcijańskich męczenników — do tego stopnia, że wcześniejsi biskupi kazali nawet postawić w tym miejscu ołtarz.

Marcin jednak nie należał do ludzi, którzy lekko wierzą w niedopowiedziane historie. Zaczął wypytywać najstarszych kapłanów i duchownych diecezji, kim właściwie był ten męczennik i kiedy zginął, i przyznawał, że bardzo trudno mu zaakceptować kult, o którym dawni ludzie nie zostawili ani jednego wiarygodnego świadectwa. Przez jakiś czas w ogóle unikał tego miejsca: skoro nie miał pewności, nie chciał urazić dobrej wiary ludzi, ale też nie zamierzał swoją obecnością dawać oficjalnej przykrywki pobożności, która mogła być zwykłym zabobonem. Aż któregoś dnia postanowił tam pójść, tylko w towarzystwie kilku mnichów.

Stanął przed grobem i modlił się do Boga, prosząc, żeby pokazał mu, kto tam jest pochowany i jakie życie prowadził. Ledwie obrócił głowę w lewo, zobaczył tuż obok ciemną postać o dzikim wyglądzie. Marcin nakazał jej powiedzieć, jak się nazywa i co robiła za życia. Duch podał swoje imię i wyznał wszystko: był rozbójnikiem grasującym po drogach, straconym za popełnione zbrodnie, a czczono go przez zwykłą pomyłkę nieświadomego ludu; z męczennikami nie miał absolutnie nic wspólnego, bo podczas gdy oni przebywają w chwale Bożej, on odbywa tam swoją karę. Najbardziej uderzające jest to, że mnisi towarzyszący Marcinowi doskonale słyszeli odpowiadający głos, choć nikogo nie widzieli.

Marcin opowiedział im wtedy, co właśnie zobaczył, i kazał natychmiast usunąć ołtarz z tego miejsca, uwalniając ludność od dalszego zwodzenia przez tę fałszywą pobożność.

> **Kontekst narratora: zmysł krytyczny Marcina i gorączka relikwii w IV wieku**
>
> Pod koniec IV wieku kult męczenników gwałtownie rozkwitł w całym Cesarstwie Rzymskim: każde miasto chciało mieć grób bohatera dawnych prześladowań i wystarczyło, że przy drodze znalazł się jakiś stary grób, a lud już zaczynał do niego pielgrzymować.
>
> Postawa Marcina jest jak na tamtą epokę zdumiewająco trzeźwa: zamiast przymknąć oko, bo „to dobrze robi wierze ludu", zachowuje się jak wymagający śledczy. Wypytuje najstarszych kapłanów, szuka historycznych zapisów — imienia męczennika i daty męczeństwa (*acta martyrum*) — i odmawia uznania kultu bez dowodów. Zwróć też uwagę na symboliczny szczegół typowy dla świata starożytnego: cień zbrodniarza pojawia się **po lewej stronie** (*ad laevam* — po łacinie *sinistra*), czyli po tej, którą zarówno w kulturze rzymskiej, jak i w Ewangelii św. Mateusza (25,33) kojarzono z potępieniem.

ROZDZIAŁ XII

Pogański pogrzeb unieruchomiony pośrodku pól

Jakiś czas później, podczas jednej ze swoich podróży po wsiach, Marcin zobaczył z daleka pogrzeb poganina, zmierzający na miejsce pochówku wśród zabobonnych obrzędów. Ponieważ orszak był jeszcze ponad siedemset metrów od niego, Marcin zatrzymał się, żeby zorientować się, co to za zgromadzenie, bo z takiej odległości nie mógł dobrze rozpoznać, co się dzieje.

Widział jednak, że to duża grupa chłopów, i zauważył białe lniane płótna powiewające na wietrze nad tym, co nieśli na ramionach. Od razu nabrał przekonania, że to pogańska procesja, bo wieśniacy w Galii mieli stary

zwyczaj obnoszenia po polach posągów swoich bogów, okrytych białymi tkaninami.

Marcin podniósł wtedy rękę, uczynił w ich stronę znak krzyża i rozkazał, żeby zatrzymali się tam, gdzie stoją, i postawili to, co niosą. To, co nastąpiło potem, było niezwykłe: najpierw wszyscy ci ludzie stanęli jak wryci, nieruchomi niczym kamienne posągi; potem, choć z całych sił próbowali ruszyć dalej, nie mogli zrobić ani kroku naprzód i zaczęli kręcić się w kółko w miejscu w sposób zupełnie komiczny, aż w końcu, wyczerpani, nie mieli innego wyjścia, jak położyć ciało na ziemi. Oszołomieni patrzyli na siebie w milczeniu, nie rozumiejąc, co się z nimi dzieje.

Tymczasem Marcin, widząc tę scenę z bliższej odległości, zorientował się, że to tylko kondukt pogrzebowy, a nie procesja z bożkami. Znów podniósł rękę i pozwolił im podnieść zmarłego i iść dalej swoją drogą. I tak, kiedy chciał, zatrzymał ich; a kiedy uznał to za słuszne, pozwolił im odejść w pokoju.

> **Kontekst narratora: skąd się wzięło słowo „poganin" i rolnicze procesje Galii**
>
> Ten epizod — niemal komiczny przez obraz ludzi kręcących się w kółko i niezdolnych ruszyć się z miejsca — pomaga wyjaśnić pochodzenie samego słowa **poganin**!
>
> Po łacinie wieś albo okręg wiejski nazywano *pagus*, a jego mieszkańca — *paganus*: to człowiek ze wsi, wieśniak (którego Sulpicjusz nazywa też *rusticus*). Podczas gdy chrześcijaństwo szybko szerzyło się w rzymskich miastach (*civitates*), na wiejskich terenach Galii rolnicy długo trzymali się dawnych celtycko-rzymskich obrzędów. Jeden z najpopularniejszych odbywał się wiosną (przypominał rzymskie święto *Ambarvalia* oraz kult Kybele albo dawnych celtyckich bogiń-matek): wizerunki bóstw, okryte białymi lnianymi tkaninami, obnoszono w procesji wokół pól zbóż, żeby wyprosić dobre plony. Z odległości 500 kroków rzymskich (około 740 metrów) Marcin wziął całun za zasłony jednej z takich rolniczych procesji — ale gdy tylko zobaczył, że to po

> prostu ludzie ze wsi idą pochować zmarłego, pozwolił im dalej żyć po swojemu.

ROZDZIAŁ XIII

Wyzwanie świętej sosny: związany pod padającym drzewem

Innym razem, w pewnej wsi, gdzie dopiero co zburzył bardzo starą pogańską świątynię, Marcin szykował się, żeby kazać ściąć także wielką sosnę, która rosła tuż obok sanktuarium. Tym razem jednak miejscowy pogański kapłan i wszyscy mieszkańcy wyszli, żeby mu w tym przeszkodzić. Choć brzmi to niewiarygodnie, ci sami ludzie, którzy z woli Bożej spokojnie przyglądali się burzeniu kamiennej świątyni, za nic nie chcieli pozwolić, żeby ktoś tknął drzewo.

Marcin cierpliwie próbował im wytłumaczyć, że w drewnianym pniu nie ma nic boskiego: niech raczej oddają cześć prawdziwemu Bogu, któremu on służy, bo to drzewo musi paść, skoro jest poświęcone fałszywemu duchowi. Aż jeden z wieśniaków, śmielszy od pozostałych, rzucił wyzwanie: „Jeśli tak bardzo ufasz temu Bogu, któremu, jak mówisz, służysz, to zawrzyjmy układ: my sami zetniemy drzewo, ale ty staniesz pod nim i złapiesz je, kiedy będzie padać! Jeśli twój Pan naprawdę jest z tobą, ujdziesz z życiem!”

Bez mrugnięcia okiem i pełen ufności w Bogu Marcin przyjął ten układ. Słysząc to, wszyscy poganie zgodzili się od ręki: uznali, że warto stracić święte drzewo, jeśli w zamian przygniecie ono, padając, człowieka, który chodzi i niszczy ich sanktuaria.

Ponieważ sosna już wcześniej rosła mocno pochylona w jedną stronę, nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, gdzie dokładnie upadnie.

Wieśniacy związali więc Marcina i postawili go dokładnie w wybranym przez siebie punkcie, tuż pod pochyłością pnia. Potem chwycili za topory i sami zaczęli ścinać sosnę, pełni zapału i zadowolenia. Dookoła zebrało się morze ludzi, którzy przyglądali się z daleka, wstrzymując oddech. Ogromna sosna zaczęła się powoli chwiać i trzeszczeć, o krok od upadku. W oddali mnisi towarzyszący Marcinowi zbledli jak ściana: przerażeni bliskim niebezpieczeństwem stracili wszelką nadzieję, a nawet wiarę, przekonani, że za chwilę zobaczą, jak Marcin ginie tam przygnieciony.

On jednak pozostał zupełnie spokojny, zdany na ręce Pana. A kiedy pień pękł z hukiem i wreszcie zaczął walić się prosto na niego, gotów go zmiażdżyć, Marcin podniósł rękę i nakreślił w powietrzu znak krzyża. W tej samej chwili — jakby uderzył w nią od czoła wściekły podmuch wiatru — sosna odchyliła się do tyłu i runęła w przeciwną stronę, omal nie przygniatając chłopów, którzy ustawili się w miejscu, jak sądzili, najbezpieczniejszym!



Związany przez pogańskich wieśniaków dokładnie w miejscu, gdzie miała runąć ogromna święta sosna, Marcin podnosi rękę w znaku krzyża i sprawia, że drzewo pada w drugą stronę.

Od razu podniósł się potężny okrzyk: poganie nie mogli uwierzyć w to, co właśnie zobaczyli, mnisi rozpłakali się z radości, a wszyscy jednym głosem wysławiali imię Chrystusa. Tego dnia stało się jasne, że wiara zdobyła tę ziemię: w całym tym tłumie nie było prawie ani jednego poganina, który nie przyszedłby prosić Marcina, żeby nałożył na niego ręce i przyjął go do katechumenatu, zostawiając za sobą dawne wierzenia, żeby pójść za Panem Jezusem. Prawda jest taka, że zanim Marcin tam przybył, w tej okolicy prawie nikt nie był chrześcijaninem; ale jego cuda i jego przykład wywarły takie wrażenie, że dziś nie ma tam wsi bez kościołów pełnych ludzi albo bez klasztorów. Bo ilekroć Marcin burzył pogańskie sanktuarium, starał się od razu zbudować w tym samym miejscu kościół albo mały klasztor.

Kontekst narratora: dlaczego Galowie bronili sosny bardziej niż kamiennej świątyni?

Zauważyłeś ciekawy szczegół już na samym początku tego rozdziału? Mieszkańcy wsi pozwolili zburzyć kamienną świątynię i nie zareagowali, ale kiedy Marcin chciał ściąć **sosnę**, omal go nie zabili! Dlaczego?

Wyjaśnienie kryje się w dawnej religii Celtów (Galów): przed przybyciem Rzymian Celtowie nie modlili się w zamkniętych budynkach; dla nich prawdziwym mieszkaniem bogów były wielowiekowe drzewa i święte gaje (*nemora*). Kamienna świątynia była tylko modą przyniesioną przez Rzymian, ale ta stara sosna była religijną duszą wsi!

Zwróć też uwagę na rozbrajającą szczerość Sulpicjusza Sewera, który nie ukrywa paniki mnichów samego Marcina, drżących w oddali i tracących „wszelką nadzieję, a nawet wiarę". I zwróć uwagę na ostatnie zdanie rozdziału: ten zwyczaj Marcina, żeby wznosić kaplicę albo klasztor dokładnie w miejscu dawnych sanktuariów i świętych drzew, dał początek sieci wiejskich parafii w całej Europie!

ROZDZIAŁ XIV

Ogień, który cofnął się pod wiatr, i dwaj uzbrojeni aniołowie w Levroux

Mniej więcej w tym samym czasie, w podobnej sytuacji, Marcin znalazł się w centrum innego uderzającego wydarzenia. W pewnej wsi, gdzie podpalił bardzo stare i sławne pogańskie sanktuarium, wiatr zaczął pędzić płomienie prosto na sąsiedni dom, który stał tuż przy świątyni. Gdy tylko Marcin dostrzegł niebezpieczeństwo, wdrapał się biegiem na dach tego domu i stanął dokładnie naprzeciw zbliżających się płomieni. To, co stało się potem, wprawiło wszystkich w osłupienie: widziano, jak ogień wygina się do tyłu, wbrew kierunkowi wiatru, jakby siły natury walczyły ze sobą nawzajem! W ten sposób, dzięki interwencji Marcina, pożar strawił tylko to, co miało spłonąć, a dom zostawił nietknięty.

W innej miejscowości, zwanej Levroux, Marcin także próbował zburzyć wielką świątynię, bardzo bogatą i otoczoną ogromną pogańską czcią, ale zebrał się przeciw niemu rozwścieczony tłum i wypędził go stamtąd wyzwiskami i ciosami. Marcin wycofał się wtedy w pobliskie miejsce i spędził całe trzy dni ubrany w szorstką pokutną tunikę i posypany popiołem, bez jedzenia i na nieustannej modlitwie, prosząc Boga, żeby — skoro ludzkie ręce nie zdołały zburzyć tego sanktuarium — dokonała tego sama moc Boża.

Po upływie tych trzech dni nagle ukazali mu się dwaj aniołowie z włócznią i tarczą w ręku, niczym żołnierze niebieskiego wojska. Powiedzieli mu, że posłał ich Pan, żeby zmusili tłum do ucieczki i chronili go podczas burzenia świątyni: może spokojnie wrócić do wsi i dokończyć to, co zaczął, bo nikt nie tknie go palcem.

Marcin natychmiast wrócił do Levroux i na oczach całej tej pogańskiej ludności — która stała i patrzyła, zupełnie niezdolna zareagować —

zrównał sanktuarium z ziemią aż do fundamentów, a wszystkie ołtarze i posągi roztrzaskał na kawałki. Rozumiejąc, że tylko Boża moc mogła ich tak sparaliżować i napełnić lękiem, tak że nie byli w stanie powstrzymać biskupa, prawie wszyscy mieszkańcy tego miejsca nawrócili się do Jezusa Chrystusa i głośno wyznawali, że tylko Bóg Marcina zasługuje na cześć, a tamte bożki, które nie umiały nawet same się obronić, nic nie są warte.

> **Kontekst narratora: ocalenie domu sąsiada i wielkie sanktuarium w Levroux**
>
> Starożytna osada *Leprosum* to dziś miasteczko **Levroux** w środkowej Francji (region Berry), gdzie wykopaliska archeologiczne potwierdziły istnienie wielkiego galorzymskiego ośrodka religijnego.
>
> Warto zauważyć dwie bardzo wymowne cechy sposobu działania Marcina:
>
> 1. **Zwalczać bożka, chronić ludzi:** w pierwszym epizodzie, gdy tylko Marcin widzi, że wiatr rzuca płomienie ze świątyni na słomiany albo drewniany dach sąsiedniego domu, ryzykuje własną skórę i wspina się na płonący dach, żeby sąsiad nie został bez dachu nad głową.
>
> 2. **Pokuta zamiast wojska:** kiedy zostaje pobity i wypędzony z Levroux, Marcin nie idzie prosić rzymskich władz o żołnierzy, którzy siłą narzuciliby prawo (jak robiło to już kilku biskupów jego czasów). Woli wycofać się na trzy dni postu, ubrany we **włosiennicę** (*cilicium*, szorstką tunikę z koziej albo wielbłądziej sierści noszoną na gołym ciele) i z popiołem na głowie — dokładnie tak, jak robili to dawni biblijni prorocy.

ROZDZIAŁ XV

Szyja odsłonięta przed mieczem w kraju Eduów

Chcę też opowiedzieć, co wydarzyło się w kraju Eduów. Kiedy Marcin kazał burzyć tamtejszą świątynię, rzuciła się na niego rozwścieczona

gromada pogańskich chłopów. Jeden z nich, bardziej zapalczywy od pozostałych, dobył miecza i ruszył prosto na Marcina, żeby go zabić. Marcin nie cofnął się ani o krok, odrzucił płaszcz z ramion i nadstawił mu odsłoniętą szyję. Tamten nawet się nie zawahał przed ciosem; ale dokładnie w chwili, gdy uniósł wysoko ramię, żeby opuścić miecz, stracił równowagę, runął na plecy na ziemię i ogarnięty niewytłumaczalnym przerażeniem zaczął błagać o przebaczenie.

Bardzo podobny był inny przypadek: pewien człowiek próbował dźgnąć go wielkim nożem, kiedy Marcin rozbijał pogańskie posągi, ale w chwili, gdy miał wbić ostrze, żelazo wyleciało mu z rąk i zniknęło bez śladu.

Najczęściej jednak, kiedy wiejska ludność próbowała przeszkodzić mu w burzeniu swoich sanktuariów, Marcin przemawiał do niej z taką życzliwością i z takim przekonaniem, że rozbrajał serca — a gdy otwierał ludziom oczy na prawdę, to sami mieszkańcy w końcu burzyli swoje świątynie.

> **Kontekst narratora: kraj Eduów i siła słowa**
>
> Terytorium **Eduów** (*pagus Aeduorum*) leżało w dzisiejszej **Burgundii**, wokół miasta Autun (starożytne *Augustodunum*). Eduowie byli jednym z najstarszych i najdumniejszych ludów galijskich, sławnym od czasów Juliusza Cezara i o bardzo głębokich korzeniach druidycznych.
>
> Przyjrzyj się uważnie ostatniemu zdaniu tego rozdziału, które często umyka uwadze: Sulpicjusz bardzo dba o to, żeby wyjaśnić, że mimo tych pełnych napięcia chwil z mieczami i rzeźnickimi nożami (*culter*) *„najczęściej"* (*plerumque*) Marcin przełamywał opór wsi nie siłą, lecz cierpliwą rozmową i nauczaniem, aż sami mieszkańcy rozbierali stare ołtarze.

ROZDZIAŁ XVI

Sparaliżowana dziewczyna uzdrowiona w Trewirze poświęconym olejem

Co do daru uzdrawiania chorych, miał on u Marcina tak niezwykłą moc, że mało kto przychodził prosić go o pomoc i nie odchodził natychmiast uzdrowiony — co dobrze widać w przypadku, o którym zaraz opowiem.

W mieście Trewirze żyła dziewczyna dotknięta paraliżem tak ciężkim, że od dawna nie poruszała ani jednym mięśniem: była praktycznie martwa od stóp do głów i ledwie dało się dostrzec, że jeszcze oddycha. Cała rodzina zebrała się wokół łóżka we łzach i czekała już tylko na koniec, żeby zająć się pogrzebem, kiedy po mieście rozeszła się wieść, że Marcin właśnie przybył do Trewiru. Gdy tylko ojciec dziewczyny o tym usłyszał, wybiegł z domu, niemal bez tchu, żeby błagać go o pomoc dla córki.

Marcin wszedł już wtedy do kościoła. Tam, na miejscu, na oczach całego ludu i wielu innych biskupów, stary ojciec rzucił się na ziemię, objął jego kolana i zanosząc się szlochem, błagał: „Moja córka umiera na straszną chorobę i — co gorsze nawet od samej śmierci — została jej tylko nitka oddechu w ciele, które już wygląda na martwe! Błagam cię na wszystko, pójdź do mojego domu i pobłogosław ją, bo wierzę bez cienia wątpliwości, że dzięki twojej ręce wyzdrowieje!”

Zmieszany taką prośbą wypowiedzianą publicznie, Marcin próbował się wycofać, bardzo zakłopotany: mówił, że to zupełnie przekracza jego siły, że ten biedny człowiek myli się co do niego i że nie ma on żadnych zasług, żeby Bóg miał przez niego zdziałać taki cud. Ale ojciec go nie puszczał, płakał coraz bardziej i nalegał, żeby przyszedł zobaczyć córkę, zanim umrze. W końcu nawet pozostali obecni biskupi zaczęli naciskać na Marcina, żeby poszedł, i wreszcie udał się on do domu dziewczyny.

Na zewnątrz, pod drzwiami, zebrał się ogromny tłum, żeby zobaczyć, co zrobi mąż Boży.

Najpierw, sięgając po swoją zwykłą w takich sytuacjach broń, Marcin ukląkł tak, że czołem dotknął ziemi, i trwał na modlitwie. Potem spojrzał na dziewczynę i poprosił o trochę oleju; pobłogosławił go i wlał jej do ust kilka kropel tego poświęconego płynu — i w tej samej chwili odzyskała mowę. Potem, stopniowo, w miarę jak Marcin jej dotykał, ręce i nogi na nowo wracały do życia, aż dziewczyna wstała i pewnym krokiem stanęła przed całym ludem.

> **Kontekst narratora: Trewir, stolica cesarska, i błogosławieństwo oleju**
>
> Ta historia rozgrywa się w **Trewirze** (*Augusta Treverorum*, dzisiejsze niemieckie miasto **Trier**, znane też pod francuską nazwą Trèves). W IV wieku Trewir nie był byle jakim miastem: był **stolicą zachodniego Cesarstwa Rzymskiego**, gdzie mieszkał cesarz i rezydował dwór cesarski. Dlatego właśnie widzimy Marcina w kościele w otoczeniu „wielu innych biskupów", którzy zjechali z różnych prowincji, żeby załatwiać w pałacu sprawy swoich diecezji.
>
> Dla każdego, kto bada historię chrześcijańskich tradycji, ten epizod jest również bardzo cennym dokumentem: to jedno z najstarszych na Zachodzie świadectw błogosławienia oleju (*oleum*) przez biskupa w celu uzdrawiania ciężko chorych — gestu inspirowanego Listem św. Jakuba (5,14), który dał początek dzisiejszemu sakramentowi namaszczenia chorych.

ROZDZIAŁ XVII

Były prokonsul Tetradiusz i palce Marcina w ustach opętanego

Mniej więcej w tym samym czasie niewolnik Tetradiusza, byłego prokonsula i człowieka o wielkim znaczeniu politycznym, popadł w gwałtowny stan opętania, który sprawiał mu straszne cierpienia. Przyszli

prosić Marcina, żeby nałożył na niego ręce i go uleczył, a on kazał przyprowadzić młodzieńca do siebie. Tyle że nikt nie potrafił wydobyć go z izby, w której był zamknięty: rzucał się z taką wściekłością, próbując gryźć każdego, kto otworzył drzwi, że nikt nie śmiał się do niego zbliżyć.

Wtedy Tetradiusz osobiście poszedł rzucić się na kolana u stóp Marcina i błagał, żeby sam przyszedł do jego domu pomóc młodzieńcowi. Marcin odpowiedział, że nie może wejść do domu poganina — bo Tetradiusz wyznawał wtedy jeszcze tradycyjną religię rzymską. Były prokonsul z miejsca obiecał mu, że jeśli zły duch opuści tego niewolnika, on sam zostanie chrześcijaninem. Marcin poszedł więc do tego domu, położył rękę na głowie młodzieńca i natychmiast uwolnił go od tej udręki. Widząc to na własne oczy, Tetradiusz dotrzymał słowa: uwierzył w Pana Jezusa, od razu zapisał się na katechumena, niedługo potem przyjął chrzest i do końca życia darzył Marcina ogromną wdzięcznością i szacunkiem, uważając go za sprawcę swojego zbawienia.

W tych samych dniach i w tym samym mieście, gdy Marcin wchodził do domu innego pana, stanął jak wryty tuż przy drzwiach i ostrzegł, że widzi na wewnętrznym dziedzińcu ohydnego demona. Ledwie rozkazał mu odejść, duch wszedł w ciało sługi, który był w głębi domu, w kuchni. Biedak zupełnie postradał zmysły i zaczął wrzeszczeć, zgrzytać zębami i gwałtownie gryźć każdego, kto stanął mu na drodze. W całym domu zapanował chaos: pozostała służba wpadła w panikę i wszyscy uciekli na ulicę.

Marcin podszedł prosto do szalejącego człowieka i zaczął od tego, że kazał mu stać spokojnie. Ponieważ tamten dalej zgrzytał zębami i szeroko otwierał usta, grożąc, że rozszarpie go zębami, Marcin włożył mu do ust własne palce i rzucił wyzwanie: „Jeśli masz taką moc, ugryź je!” Jakby przytknięto mu do gardła rozpalone żelazo, opętany natychmiast rozwarł szczęki najszerzej, jak mógł, żeby nawet nie musnąć palców Marcina. A ponieważ Boże kary zmuszały go do opuszczenia tego

ciała, lecz przez usta wyjść już nie mógł, duch nieczysty został w końcu wyrzucony w gwałtownym rozwolnieniu, zostawiając na podłodze cuchnący ślad.

> **Kontekst narratora: wysoko postawiony rzymski senator i nieocenzurowany realizm starożytności**
>
> W tym rozdziale są dwa bardzo ciekawe szczegóły:
>
> 1. **Tetradiusz, *vir proconsularis*:** mieć status „prokonsularny" znaczyło należeć do ścisłej czołówki rzymskiego Senatu i mieć już za sobą rządy w którejś z wielkich prowincji Cesarstwa. Odmawiając z początku wejścia do domu poganina (co przypomina pierwszą rozmowę Jezusa z Kananejką albo z setnikiem w Ewangeliach), Marcin doprowadza tego dumnego arystokratę do osobistego kroku wiary — a wszystko to po to, żeby ocalić zwykłego domowego niewolnika!
>
> 2. **Surowy realizm drugiego egzorcyzmu:** kto czyta ten rozdział dzisiaj, często jest zaskoczony bardzo dosadnym zakończeniem epizodu! Dla religijnej mentalności IV wieku było jasne: skoro konsekrowane palce biskupa znalazły się w ustach sługi, zły duch nie mógł już wyjść drogą, która została pobłogosławiona — dlatego Sulpicjusz mówi nam bez owijania w bawełnę, że musiał wyjść „dołem", w gwałtownym ataku biegunki (*fluxu ventris*).

ROZDZIAŁ XVIII

Fałszywa pogłoska o najeździe barbarzyńców, pocałunek dla trędowatego w Paryżu i nitki z tuniki

Innym razem po mieście nagle rozeszła się pogłoska, że ludy barbarzyńskie ruszyły do ataku, i cała ludność wpadła w panikę. Marcin kazał wtedy przyprowadzić do kościoła pewnego opętanego i rozkazał duchowi powiedzieć całą prawdę o tej wieści. Duch w końcu wyznał, że to dziesięć demonów naraz puściło tę plotkę po ulicach w nadziei, że

strach skłoni Marcina do ucieczki z miasta; barbarzyńcom zaś atak nawet nie przeszedł przez myśl. Po tym wyznaniu, wypowiedzianym na głos pośrodku kościoła, całe miasto odetchnęło z ulgą i odzyskało spokój.

Z kolei w Paryżu, gdy Marcin w otoczeniu ogromnego tłumu przechodził przez jedną z bram w murach miejskich, pojawił się trędowaty z twarzą zupełnie zniekształconą przez chorobę. Podczas gdy wszyscy cofali się ze wstrętem, Marcin podszedł prosto do niego, pocałował go w twarz i pobłogosławił. Człowiek ten został w tej samej chwili uzdrowiony i już następnego dnia zjawił się w kościele z czystą, zdrową skórą, dziękując Bogu za odzyskane zdrowie.



U wejścia do bram Paryża (Lutecji Paryzjów), podczas gdy tłum odsuwa się z przerażeniem, biskup Marcin podchodzi do trędowatego o zniekształconej twarzy i z czułością go całuje.

Nie mogę też nie wspomnieć, że nawet zwykłe nitki wyciągnięte z jego ubrania albo z tuniki z wielbłądziej sierści niezliczoną ilość razy uzdrawiały chorych: wystarczyło obwiązać je wokół palców albo nosić na szyi, żeby odpędzić chorobę od cierpiących.

🎙️ Kontekst narratora: wojenne pogłoski w IV wieku i pocałunek u bram Paryża

Ten rozdział łączy dwa bardzo wymowne epizody:

1. **Wojna plotek na rzymskiej granicy:** w Galii końca IV wieku, bez szybkiej łączności, wystarczyła pogłoska, że germańskie plemiona przekroczyły Ren, żeby całe miasto rzuciło się do ucieczki. Marcin wykorzystuje przesłuchanie pośrodku kościoła, żeby zdemaskować fałszywą plotkę i uspokoić całą ludność!

2. **„Apud Parisios" — narodziny nazwy Paryża:** zwróć uwagę na łacińskie wyrażenie, którym Sulpicjusz określa miejsce akcji: *apud Parisios* („w kraju Paryzjów"). Jesteśmy dokładnie w tym momencie dziejów, w którym stara rzymska nazwa *Lutetia* wychodzi z użycia i ustępuje nazwie miejscowego plemienia galijskiego — **Paryż**! Brama w murach, przy której Marcin pocałował trędowatego, stała u wejścia na *Île de la Cité*, bardzo blisko miejsca, gdzie dziś wznosi się katedra Notre-Dame. W społeczeństwie, w którym trąd budził grozę, a trędowatych odpędzano kamieniami, widok biskupa, który obejmuje zniekształconego człowieka i całuje go w policzek, na zawsze wyrył się w pamięci miasta.

ROZDZIAŁ XIX

List, który uleczył córkę Arboriusza, oczy Paulina z Noli i upadek ze schodów

Arboriusz, były rzymski prefekt i człowiek bardzo głębokiej, szczerej wiary, miał w domu córkę, którą wyniszczały straszne ataki febry czwartaczki. Tak się złożyło, że w tych dniach dostał list napisany przez Marcina; dokładnie w chwili, gdy gorączka u dziewczyny znów zaczynała rosnąć, ojciec położył jej ten list na piersi i w tej samej sekundzie gorączka spadła i już nigdy nie wróciła. Arboriusz był tak poruszony tym, co zobaczył, że od razu postanowił poświęcić córkę Bogu, na życie w czystości na zawsze. Wyruszył potem do Marcina, zabrał ze sobą

dziewczynę — żywy dowód, że uleczył ją nawet na odległość — i bezwzględnie nalegał, żeby to sam Marcin, a nie kto inny, nałożył jej welon dziewic konsekrowanych.

Paulin z kolei — człowiek, który później miał się stać dla wszystkich niezwykłym przykładem chrześcijańskiego życia — zaczął cierpieć na okropne bóle w jednym oku, tak że na źrenicy utworzyło się grube bielmo i odbierało mu wzrok. Marcin delikatnie przesunął po jego oku małym lekarskim pędzelkiem, w jednej chwili usunął cały ból i przywrócił mu wzrok, tak doskonały jak przedtem.

Jeśli zaś chodzi o samego Marcina, któregoś dnia miał nieszczęście spaść z piętra i stoczyć się po zniszczonych schodach, pełnych krzywych stopni, tak że był cały poraniony i posiniaczony od stóp do głów. Leżał w swojej celi prawie umierający, w nieznośnym bólu, kiedy w nocy ukazał mu się anioł, który obmył jego rany i rozprowadził kojący balsam po całym poobijanym ciele. Następnego ranka Marcin wstał tak zdrowy i w tak dobrej formie, jakby nigdy żadnego upadku nie było.

Ale gdybym zaczął tu opowiadać po kolei każdy przypadek, nigdy byśmy nie skończyli; poprzestańmy na tych kilku przykładach wybranych spośród tak wielu innych. W zupełności wystarczą, żeby pokazać prawdę o najbardziej godnych podziwu rzeczach, jakie się wydarzyły, i nie znużyć czytelnika nadmiarem historii.

> **Kontekst narratora: malaria, kłopoty z oczami i dwa wielkie nazwiska rzymskiej arystokracji**
>
> Spotykamy tu dwie postaci historyczne bardzo dobrze znane z innych źródeł epoki:
>
> 1. **Magnus Arboriusz i „febra czwartaczka":** Arboriusz był wysokim urzędnikiem cesarskim (*vir praefectorius*, prefekt w Rzymie około 379–380 roku) i siostrzeńcem słynnego poety Auzoniusza z Bordeaux. „Febra czwartaczka", która zaatakowała jego córkę, była ciężką postacią **malarii** (*Plasmodium malariae*), charakteryzującą się gwałtownymi skokami gorączki i

dreszczami, które wracały co trzy dni (co „czwarty dzień" według rzymskiego sposobu liczenia, który obejmował dzień pierwszy i ostatni).

2. **Święty Paulin z Noli (354–431):** ten „Paulin", uleczony z poważnej choroby oka (prawdopodobnie wrzodu rogówki albo zaćmy pourazowej, dotkniętej *peniculus*, małą gąbką albo pędzelkiem używanym przez starożytnych lekarzy), to nikt inny jak **Pontius Meropius Paulinus**, niezmiernie bogaty senator urodzony w Bordeaux, namiestnik Kampanii i najlepszy przyjaciel naszego autora, Sulpicjusza Sewera! Sam Paulin zostawił w swoich pismach relację o tym uzdrowieniu; niedługo potem sprzedał swoją ogromną fortunę, żeby rozdać ją ubogim, i zamieszkał w Noli, w południowej Italii, stając się jednym z największych chrześcijańskich poetów starożytności.

ROZDZIAŁ XX

Uczta cesarza Magnusa Maksymusa: kielich podany kapłanowi przed cesarzem

Dochodzę teraz do epizodu, który przy tak wielkich cudach może wydawać się mniejszy — choć w tych zepsutych i skorumpowanych czasach, w których dziś żyjemy, biskup, który nie ugina się przed pochlebstwami cesarskiego dworu, to niemal większy cud niż wszystkie pozostałe! Kiedy na dworze cesarza Maksymusa — człowieka twardego i pełnego arogancji po wygranej wojnie domowej — zebrało się bardzo wielu biskupów z różnych prowincji, żal było patrzeć, jak służalczo wszyscy spełniali jego życzenia, sprowadzając godność biskupią do roli zwykłych pochlebców władzy. Jeden tylko Marcin zachował nienaruszoną niezłomną postawę Apostoła! Nawet kiedy musiał prosić cesarza o łaskę dla kogoś, mówił z takim autorytetem, że wyglądało to raczej na wydawanie rozkazu niż na prośbę o przysługę. I ilekroć Maksymus zapraszał go na obiad przy cesarskim stole, Marcin zawsze odmawiał i mówił bez ogródek, że nie może usiąść przy stole człowieka,

który usunął dwóch prawowitych cesarzy — jednemu odebrał tron, a drugiemu samo życie.

Maksymus próbował się usprawiedliwiać na wszelkie sposoby: zapewniał, że nie sięgnął po władzę z osobistej ambicji, lecz że to żołnierze, z woli Bożej, popchnęli go do rządzenia i do bronienia się siłą oręża; dodawał, że za zwycięstwem tak szybkim jak jego mogła stać tylko ręka Boga i że żaden z jego wrogów nie zginął poza polem bitwy. Nalegał tak długo, na przemian tłumacząc się i prosząc, że Marcin w końcu zgodził się przyjść na ucztę — a cesarz nie posiadał się z radości, że wreszcie go przekonał.

Uczta wyglądała jak wielkie święto i zgromadziła przy stole największe osobistości Cesarstwa: był tam Ewodiusz, prefekt i zarazem konsul, jeden z najsprawiedliwszych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli; byli też dwaj komesowie o najwyższych uprawnieniach wojskowych — brat cesarza i jego stryj. Między tymi dwoma posadzono kapłana, który towarzyszył Marcinowi; sam Marcin usiadł na niskim stołku ustawionym tuż obok miejsca cesarza.

W połowie uczty, jak tego wymagał dworski protokół, podczaszy przyniósł cesarzowi kielich wina. Pełen szacunku Maksymus kazał zanieść go najpierw świętemu biskupowi, bo bardzo mu zależało, żeby potem otrzymać kielich prosto z rąk Marcina. Tyle że Marcin, upiwszy łyk, podał kielich kapłanowi, który z nim przyszedł! Uznał, że nikt w tej sali nie ma większej godności, żeby pić zaraz po biskupie, i że postąpiłby wbrew sumieniu, gdyby postawił samego cesarza albo jego krewnych przed kapłanem.



Na cesarskiej uczcie w Trewirze Marcin, siedząc na małym stołku obok cesarza Magnusa Maksymusa, pije z królewskiego kielicha i podaje go najpierw towarzyszącemu mu kapłanowi, a dopiero potem władcy — ku zdumieniu dworu.

Choć brzmi to niewiarygodnie, zarówno cesarz, jak i wszyscy goście byli pod takim wrażeniem tej wolności ducha, że spodobał im się właśnie ten gest, który zepchnął ich na drugie miejsce! Wkrótce w całym pałacu nie mówiło się o niczym innym: przy stole samego cesarza Marcin miał odwagę zrobić to, na co żaden inny biskup nie ważył się nawet na obiadach u drugorzędnych namiestników.

Później, na długo przed wybuchem wojny, Marcin ostrzegł tegoż Maksymusa, co go spotka, jeśli zrealizuje swój plan najazdu na Italię i ataku na młodego cesarza Walentyniana: wygra z nim pierwszą bitwę, ale niedługo potem zginie. I dokładnie to widzieliśmy na własne oczy: gdy tylko Maksymus wkroczył do Italii, Walentynian musiał uciekać; ale po około roku odbudował swoją armię, obległ Maksymusa w murach Akwilei, pojmał go i kazał stracić.

Kontekst narratora: wielka rzymska polityka i złamanie protokołu w Trewirze

Ta scena, rozgrywająca się w pałacu cesarskim w Trewirze około **385 albo 386 roku**, to jeden z najsłynniejszych momentów w relacjach między władzą polityczną a Kościołem w starożytności:

1. **Kim byli ci „dwaj cesarze", o których mówił Marcin? Magnus Maksymus** był wodzem urodzonym w Hiszpanii, którego w 383 roku wojska w Brytanii obwołały cesarzem. Przeprawił się przez kanał La Manche, pokonał i kazał zabić młodego prawowitego cesarza **Gracjana** (*któremu odebrał życie*) i wywierał nacisk na jego przyrodniego brata, nastoletniego **Walentyniana II** (*któremu odebrał część Cesarstwa*). Wszystkie osoby siedzące przy stole są postaciami historycznymi: **Flawiusz Ewodiusz** był prefektem pretorium Galii i konsulem rzymskim w roku 386.

2. **Skandal z kielichem (*patera*):** według sztywnych reguł dworu cesarskiego napić się jako pierwszy z kielicha cesarza i osobiście mu go zwrócić było największym wyróżnieniem, jakie mogło spotkać gościa. Podając kielich swojemu zwykłemu kapłanowi (*presbyter*) ponad głowami cesarza, konsula i cesarskich komesów, Marcin bez jednego słowa oświadczył, że sprawy ducha nie kłaniają się władzy wojskowej ani politycznej.

3. **Po co Marcin przybył na dwór Maksymusa?** Z innej książki Sulpicjusza Sewera (*Kroniki*) wiemy, że Marcin udał się do Trewiru, żeby spróbować ocalić od śmierci hiszpańskiego biskupa Pryscyliana i jego uczniów, oskarżonych o herezję przez innych biskupów-intrygantów — i walczył do końca o to, żeby państwo nie wykonywało wyroków śmierci z powodów religijnych.

ROZDZIAŁ XXI

Rozmowy z aniołami i diabeł z zakrwawionym wolim rogiem

Wiadomo też na pewno, że Marcin często widywał aniołów, a nawet bezpośrednio z nimi rozmawiał. Diabła zaś widział przed sobą tak

wyraźnie, że ten nigdy nie mógł prześlizgnąć się niezauważony — czy ukazywał się taki, jaki jest, czy przybierał najróżniejsze przebrania, żeby szkodzić. Zrozumiawszy, że nie ma podstępu, który zdołałby zwieść Marcina, diabeł mścił się w ten sposób, że zjawiał się co chwila tylko po to, żeby go znieważać, skoro nie mógł zastawiać na niego pułapek.

Któregoś dnia wpadł do celi Marcina z ohydnym rykiem, trzymając w prawej ręce, całej umazanej krwią, zakrwawiony woli róg. Uradowany nieszczęściem, które właśnie spowodował, krzyknął do niego: „Gdzie jest teraz twoja moc, Marcinie? Właśnie zabiłem jednego z twoich!”

Marcin natychmiast zwołał mnichów, powiedział im, co właśnie usłyszał od diabła, i posłał ich, żeby obeszli po kolei wszystkie cele i sprawdzili, kogo brakuje albo kogo spotkało jakieś nieszczęście. Wrócili niedługo potem z wiadomością, że wszyscy mnisi mają się dobrze, ale że pewien chłop, najęty na dniówkę do zwożenia drewna wozem, poszedł tego ranka do lasu. Marcin od razu poprosił kilku braci, żeby jak najszybciej poszli go szukać. Niedaleko klasztoru natknęli się na biedaka rozciągniętego na ziemi, już prawie martwego. Resztką tchu wyjaśnił mnichom, co się stało: kiedy zaciskał skórzane rzemienie, które poluzowały się przy jarzmie wołów, jedno ze zwierząt mocno szarpnęło łbem i wbiło mu róg w pachwinę. Kilka chwil później zmarł.

Każdy czytelnik sam musi rozważyć, z jakich powodów Bóg pozwolił, żeby diabeł maczał palce w takim nieszczęściu. Zdumiewające u Marcina było to, jak jasno — i w tym przypadku, i w wielu podobnych — wiedział o różnych rzeczach na długo przed tym, zanim się wydarzyły, albo od razu otrzymywał wewnętrzne ostrzeżenie, żeby powiedzieć braciom, co dzieje się gdzieś daleko.

> **Kontekst narratora: wyrobnik od drewna i szczerość Sulpicjusza wobec tragedii**
>
> W tym rozdziale są dwa bardzo piękne, ludzkie szczegóły:

1. **„Jeden z twoich”:** ponieważ mnisi z Marmoutier żyli w odosobnieniu na modlitwie (a najmłodsi spędzali dni na przepisywaniu ksiąg), klasztor najmował okolicznych robotników rolnych (*mercede conducti*, opłacanych za dzień pracy), żeby zwozili drewno z lasu wozami zaprzężonymi w woły. Choć nie był mnichem, ten skromny robotnik należał do duchowej rodziny Marcina.

2. **Żadnych łatwych odpowiedzi na cierpienie:** wobec tragicznej śmierci tego człowieka w wypadku przy pracy Sulpicjusz Sewer nie próbuje wymyślać moralizatorskiej lekcji ani obwiniać ofiary. Ma uczciwość zostawić pytanie otwarte: *„Każdy czytelnik sam musi rozważyć, z jakich powodów Bóg pozwolił, żeby diabeł maczał palce w takim nieszczęściu”* (*Viderit is, quo judicio Domini*...).

ROZDZIAŁ XXII

Przebrania Jowisza, Merkurego i Wenus — oraz obietnica przebaczenia dla samego diabła

Przy wielu innych okazjach diabeł, próbując podejść świętego tysiącem forteli, stawał mu przed oczami w najróżniejszych postaciach: raz przybierał kształt Jowisza, znacznie częściej Merkurego, a nierzadko pojawiał się też z rysami Wenus albo Minerwy. Marcin nigdy nie tracił spokoju i zawsze bronił się znakiem krzyża i modlitwą.

Często słyszano także, jak całe gromady demonów obrzucają go bezczelnymi wyzwiskami; ale ponieważ wiedział, że wszystko to są tylko kłamstwa bez ładu i składu, Marcin nie zwracał uwagi na te oskarżenia. Niektórzy mnisi opowiadali nawet, że słyszeli kiedyś, jak pewien demon aroganckim tonem zarzucał Marcinowi, że przyjął do klasztoru braci, którzy w przeszłości, zanim się nawrócili, splamili łaskę chrztu ciężkimi błędami i grzechami — i zaczął wyliczać, jeden po drugim, dawne grzechy każdego z nich.

Mnisi ci mówili, że Marcin odpowiedział mu stanowczo, że błędy przeszłości zostają zmazane, kiedy ktoś szczerze zmienia swoje życie, i że dzięki miłosierdziu Bożemu ten, kto przestaje grzeszyć, ma prawo do przebaczenia. Kiedy diabeł odparł, że wielcy grzesznicy nie zasługują na łaskę i że Bóg nie przebacza ponownie tym, którzy upadają po chrzcie, Marcin miał mu dać tę niezwykłą odpowiedź:

„Gdybyś ty sam, nieszczęsny, przestał prześladować ludzkość i żałował zła, które wyrządziłeś, to nawet teraz, kiedy dzień Sądu Ostatecznego jest tak blisko, tak bardzo ufam Panu Jezusowi Chrystusowi, że obiecałbym ci Boże przebaczenie!”

Cóż za godna podziwu śmiałość ufności w dobroć Boga! Nawet nie mając władzy, żeby taką obietnicę zagwarantować, Marcin pokazał w tych słowach ogrom swojego serca. A skoro mowa o diable i jego zasadzkach, warto opowiedzieć tu o zdarzeniu, które rozegrało się całkiem blisko: choć nie przytrafiło się ono bezpośrednio Marcinowi, wyraźnie ukazuje jego duchową siłę i zasługuje na zapisanie, żeby każdy miał się na baczności, gdyby kiedyś zdarzył się podobny przypadek.

Kontekst narratora: dawni rzymscy bogowie i najśmielsze zdanie świętego Marcina

Ten rozdział zawiera dwa uderzające momenty duchowości IV wieku:

1. **Jowisz, Merkury, Wenus i Minerwa:** dla chrześcijan starożytności bogowie rzymskiego panteonu nie byli tylko poetyckimi postaciami z mitologii; widziano w nich zwodnicze siły duchowe, które używały tych masek, żeby kusić ludzi — Jowisz żądzą władzy, Merkury sprytem i pieniędzmi, Wenus uwodzeniem, a Minerwa intelektualną próżnością.

2. **Obiecać przebaczenie samemu szatanowi:** w czasach Marcina istniały w Kościele bardzo rygorystyczne kręgi, które utrzymywały, że kto popełnił ciężki grzech po chrzcie, ten już nigdy nie może otrzymać przebaczenia. Marcin nie tylko z otwartymi ramionami przyjmuje do klasztoru ludzi z trudną przeszłością, ale posuwa się do tego, że samemu diabłu mówi, iż nawet on otrzymałby od Chrystusa przebaczenie, gdyby żałował! Było to tak śmiałe

wyznanie nieskończonego miłosierdzia Bożego (bliskie myśli teologa Orygenesa), że Sulpicjusz Sewer czuje potrzebę, by od razu dodać ostrożne zastrzeżenie dla bardziej ortodoksyjnych czytelników: *„Nawet nie mając władzy, żeby taką obietnicę zagwarantować, Marcin pokazał w tych słowach ogrom swojego serca”.*

ROZDZIAŁ XXIII

Historia Klarusa, fałszywy prorok Anatoliusz i tunika, która rozpłynęła się w powietrzu

Był pewien młodzieniec z bardzo znakomitej rodziny, imieniem Klarus — później wyświęcony na kapłana, a dziś, po świętej śmierci, spoczywający w pokoju Bożym — który zostawił wszystko, żeby zamieszkać blisko Marcina, i szybko doszedł do głębokiej wiary i przykładnego życia. Klarus zbudował niedaleko klasztoru biskupa małą pustelnię, w której mieszkało już z nim kilku mnichów. Któregoś dnia do ich drzwi zapukał młody człowiek imieniem Anatoliusz: mówił, że jest mnichem, udawał najpokorniejszą i najniewinniejszą osobę na świecie i w końcu został, żeby żyć tam we wspólnocie z innymi.

Po pewnym czasie zaczął opowiadać towarzyszom, że regularnie odwiedzają go aniołowie i przychodzą z nim rozmawiać. Ponieważ nikt w to nie wierzył, znalazł sposób, żeby zrobić wrażenie na kilku mnichach rozmaitymi dziwnymi zjawiskami. Wkrótce otwarcie już głosił, że aniołowie bez przerwy krążą z wiadomościami między nim a Bogiem, i żądał, żeby traktowano go jak prawdziwego proroka. Klarus jednak nigdy nie dał się nabrać. Wściekły, że nie może go przekonać, Anatoliusz zaczął mu grozić gniewem Bożym i rychłymi karami za to, że wątpi w słowo świętego.

Wreszcie któregoś dnia wystąpił z taką uroczystą zapowiedzią: „Wiedzcie, że dziś w nocy Pan ześle mi z Nieba białą tunikę! Jutro będę chodził w niej między wami i będziecie mieli dowód, że noszę w sobie moc Bożą, bo będę ubrany w szatę, która pochodzi z rąk samego Boga!”

Nie trzeba mówić, że cała wspólnota była bardzo poruszona i czekała, co się stanie. I oto około północy cały klasztor zdawał się trząść w posadach, jakby ktoś mocno tupał w ziemię. Z celi Anatoliusza raz po raz dobywały się błyski jasnego światła, a towarzyszył im odgłos pospiesznych kroków tam i z powrotem oraz niewyraźny szmer wielu głosów. Nagle zapadła cisza; Anatoliusz otworzył drzwi, przywołał jednego z mnichów stojących na zewnątrz, imieniem Sabacjusz, i pokazał mu tunikę, którą miał na sobie.

Osłupiały Sabacjusz pobiegł budzić pozostałych. Sam Klarus przyszedł od razu zobaczyć, co się dzieje; przyniesiono zapaloną lampę i wszyscy zaczęli szczegółowo oglądać szatę. Tkanina była niezwykle miękka, śnieżnobiała i obszyta pasami lśniącej purpury — ale choć przyglądali się bardzo uważnie, nikt nie potrafił powiedzieć, z jakiego włókna albo z jakiej wełny została zrobiona. Mimo to zarówno na oko, jak i w dotyku wydawała się bez cienia wątpliwości prawdziwą tuniką.

Klarus roztropnie poprosił braci, żeby resztę nocy spędzili na modlitwie o to, by Bóg jasno im pokazał, co się za tym wszystkim kryje; i tak trwali do świtu, śpiewając hymny i psalmy. Gdy tylko wzeszło słońce, Klarus wziął Anatoliusza za prawą rękę, zdecydowany zaprowadzić go do Marcina, całkowicie pewny, że żadna diabelska sztuczka nie zwiedzie oczu biskupa. W tej chwili nieszczęśnik wpadł w panikę: zaczął się zapierać i krzyczeć, że ma wyraźny rozkaz z Nieba, żeby nie stawać przed Marcinem! A kiedy pozostali mnisi chwycili go, żeby zaprowadzić go siłą, tunika w mgnieniu oka rozpłynęła się w powietrzu, prosto w rękach tych, którzy go trzymali.

Kto może wątpić, że i tutaj ujawniła się duchowa moc Marcina — do tego stopnia, że diabeł nie potrafił nawet podtrzymać swojego oszustwa, gdy tylko zrozumiał, że będzie musiał stanąć przed wzrokiem biskupa?

> **Kontekst narratora: ukryta próżność i tunika rzymskich senatorów**
>
> **Klarus** był jednym z najbardziej ukochanych uczniów Marcina (zmarł kilka dni przed swoim mistrzem, w listopadzie 397 roku, a Sulpicjusz wspominał go w listach z wielkim wzruszeniem). Zwróć uwagę na wymowny szczegół „niebiańskiej" tuniki Anatoliusza: była *„śnieżnobiała i obszyta pasami lśniącej purpury"* (*candore eximio, micanti purpura*). W społeczeństwie rzymskim biała tunika z purpurowymi pasami (*tunica laticlavia*) była strojem zastrzeżonym dla senatorów i wysokich urzędników!
>
> Innymi słowy, nawet w zamknięciu ubogiego klasztoru tłumione pragnienie ważności zdradziło Anatoliusza, kiedy wyobraził sobie, że Bóg ubiera go jak rzymskiego senatora. I zobacz, jak wszystko wyjaśnia się w Marmoutier: ani oczy, ani ręce mnichów, przy świetle lampy, nie zdołały przyłapać iluzji, ale wystarczyła sama perspektywa spotkania ze spokojnym, jasnym spojrzeniem Marcina, żeby całe przedstawienie się zawaliło!

ROZDZIAŁ XXIV

Fałszywi Chrystusowie w Hispanii i diabeł przebrany za cesarza: „Nie uznam Chrystusa bez znaków Krzyża"

Tak się składa, że w tych samych latach pojawił się w Hispanii młody człowiek, który zdobył wśród ludu sławę różnymi cudami, a potem tak się nadął próżnością, że najpierw ogłosił się prorokiem Eliaszem. Ponieważ wielu uwierzyło mu bez zadawania pytań, zrobił kolejny krok i zaczął twierdzić, że jest samym Chrystusem — a zwiódł tak wielu, że nawet pewien biskup imieniem Rufus ukląkł, żeby oddać mu cześć, jakby był Panem; ten skandal kosztował go później urząd biskupi. Kilku

braci opowiadało nam też, że dokładnie w tym samym czasie na Wschodzie pojawił się inny człowiek, który podawał się za świętego Jana. Widząc, że tacy fałszywi prorocy pojawiają się wszędzie, łatwo zrozumieć, że przyjście Antychrysta nie może być daleko i że przez takie postacie przygotowuje on już sobie grunt.

Nie mogę jednak nie opowiedzieć tutaj, jak przebiegle diabeł próbował mniej więcej w tym samym czasie zwieść samego Marcina. Któregoś dnia, kiedy Marcin modlił się samotnie w swojej celi, stanęła przed nim postać skąpana w blasku purpurowego światła i nim otoczona — obmyślona w najdrobniejszych szczegółach tak, żeby olśnić patrzącego tym fałszywym blaskiem. Miała na sobie cesarską szatę, na głowie złotą koronę wysadzaną drogimi kamieniami, na nogach obuwie pokryte złotem, a przy tym tak pogodne oblicze i tak promienny uśmiech, że wyglądała na wszystko, tylko nie na diabła.

Stanąwszy twarzą w twarz z tym olśniewającym zjawiskiem, Marcin w pierwszej chwili zaniemówił i przez dłuższy czas nikt nie powiedział ani słowa. W końcu to diabeł przerwał milczenie: „Rozpoznaj, Marcinie, kto stoi tu przed tobą! Jestem Chrystusem: ponieważ mam zstąpić na ziemię, chciałem najpierw ukazać się tobie".

Marcin milczał i nic mu nie odpowiadał. Diabeł wrócił więc do natarcia, jeszcze śmielej: „Marcinie, dlaczego wahasz się uwierzyć, skoro widzisz mnie na własne oczy? Jestem Chrystusem!"

Wtedy, wewnętrznie oświecony przez Ducha Świętego, tak że zrozumiał, iż ma przed sobą diabła, a nie Pana, Marcin odpowiedział: „Pan Jezus nigdy nie mówił, że powróci ubrany w purpurę i z królewską koroną na głowie. Nigdy nie uwierzę, że przyszedł Chrystus, jeśli nie zobaczę Go w tej postaci i z tymi rysami, z jakimi cierpiał podczas Męki, noszącego na ciele znaki Krzyża!"



W półmroku swojej celi, przed diabłem spowitym w purpurowe światło, w królewskiej szacie, złotym obuwiu i koronie z drogich kamieni, Marcin odpowiada: „Nigdy nie uwierzę, że przyszedł Chrystus, jeśli nie zobaczę Go w tej postaci, w jakiej cierpiał podczas Męki, noszącego na ciele znaki Krzyża!”

Ledwie postać usłyszała te słowa, w jednej sekundzie rozwiała się jak dym, a celę wypełnił tak mdlący smród, że nie pozostał nawet cień wątpliwości, iż naprawdę był to diabeł. A żeby nikt nie pomyślał, że to jakaś zmyślona legenda, od razu powiem, że tę historię, dokładnie tak, jak ją tu opowiedziałem, słyszałem z ust samego Marcina.

Kontekst narratora: szczytowy punkt książki — przeciw Chrystusowi przebranemu za cesarza

Dla wielu historyków i myślicieli ten rozdział XXIV — opowiedziany Sulpicjuszowi Sewerowi bezpośrednio przez Marcina — jest najgłębszą i najbardziej aktualną stroną całej biografii.

Zwróć najpierw uwagę na wzmiankę o **Hispanii** (dzisiejszy Półwysep Iberyjski): pod koniec IV wieku w prowincjach iberyjskich panowała atmosfera gorączkowego oczekiwania końca świata, do tego stopnia, że miejscowy

biskup imieniem Rufus dał się porwać szarlatanowi, który podawał się za Chrystusa.

Ale przede wszystkim zwróć uwagę na **strój, który diabeł wybiera, żeby podać się za Jezusa**: purpurowa szata (*vestis regia*), diadem ze złota i drogich kamieni (*diadema*) i obuwie pokryte złotem (*calcei auro illiti*). Element po elemencie był to ceremonialny strój rzymskich cesarzy IV wieku! W miarę jak Cesarstwo stawało się oficjalnie chrześcijańskie, wielu biskupów przyzwyczajonych do pałaców zaczynało wyobrażać sobie Chrystusa jako cesarskiego monarchę, całego w złocie i ziemskim triumfie. Odpowiedź Marcina przecina stulecia jak błyskawica: Chrystus pełen przepychu i władzy, odcięty od tych, którzy cierpią, i bez ran Krzyża, to falsyfikat. Dla Marcina prawdziwym obliczem Chrystusa pozostaje twarz zmarzniętego biedaka, któremu oddał połowę płaszcza u bram Amiens.

ROZDZIAŁ XXV

Wizyta autora u świętego Marcina: biskup, który umył nogi swojemu biografowi

Istotnie, od dawna słyszałem o wierze Marcina, o jego sposobie życia i sile wewnętrznej i nosiłem w sobie ogromne pragnienie, żeby poznać go osobiście; ruszyłem więc w drogę z wielką radością, w podróż podjętą specjalnie po to, żeby go odwiedzić. A ponieważ już wtedy nosiłem się z zamiarem napisania jego biografii, skorzystałem z okazji, żeby o niektóre z tych spraw zapytać jego samego — na ile jego skromność pozwalała mi pytać — a resztę zebrałem od tych, którzy byli świadkami tych wydarzeń albo znali je z pierwszej ręki.

Trudno uwierzyć, z jaką pokorą i serdecznością mnie wtedy przyjął! Był szczerze wzruszony i pełen radości w Panu, widząc, że cenimy go tak bardzo, iż wyruszyliśmy w drogę specjalnie po to, żeby go zobaczyć. Ja, biedny grzesznik — aż wstyd mi o tym mówić! — po tym, jak uczynił

nam zaszczyt i zaprosił nas do swojego stołu, to on sam polał mi ręce wodą przed posiłkiem; a kiedy zapadał wieczór, sam ukląkł, żeby umyć nam nogi! Nie miałem nawet odwagi odmówić ani go powstrzymać: bił od niego tak wielki autorytet moralny, że nieposłuszeństwo wobec niego wydawało mi się niemal ciężkim przewinieniem.



Pod koniec popołudnia w Marmoutier sędziwy biskup Marcin klęka na kamiennej posadzce, żeby własnymi rękami umyć zmęczone podróżą nogi swojego biografa i przyjaciela, Sulpicjusza Sewera.

We wszystkich rozmowach, jakie z nami prowadził, mówił nam tylko o jednym: jak bardzo trzeba porzucić złudzenia świata i ciężary tego życia, żeby pójść za Panem Jezusem z wolnymi rękami i lekkim sercem. I raz po raz stawiał nam za wzór, jako najlepszy żywy przykład naszych dni, wielkiego Paulina — o którym mówiłem przed chwilą — który sprzedał niezliczone posiadłości, żeby pójść za Chrystusem, i był niemal jedynym człowiekiem naszego pokolenia, który co do joty wypełnił wszystko, o co prosi Ewangelia. To na niego powinniśmy patrzeć — podkreślał Marcin — to jego drogą powinniśmy iść! Mówił, że nasza epoka ma ogromne szczęście, bo ma żywy dowód takiej wiary i odwagi: sprzedając wszystko,

żeby rozdać ubogim, tak jak prosił Jezus, człowiek niezmiernie bogaty, taki jak Paulin, pokazał w praktyce, że można zrobić to, co wszyscy uważali za niemożliwe.

A jaka stanowczość, jaka szlachetność była w słowach i rozmowie Marcina! Jaką imponującą jasność umysłu, jaką bystrość i przejrzystość miał, kiedy wyjaśniał najtrudniejsze fragmenty Biblii! Ponieważ wiem, że wielu ludzi podchodzi do tego sceptycznie — sam widziałem, jak kręcili nosem nawet wtedy, gdy to ja im o tym opowiadałem — przysięgam na Jezusa i na wiarę, którą dzielimy, że nigdy w życiu nie słyszałem z niczyich ust tyle mądrości, tyle inteligencji ani mowy tak jasnej i tak czystej. To prawda, że przy moralnej wielkości Marcina chwalenie jego sposobu mówienia wydaje się drobiazgiem; ale mimo wszystko to zdumiewające, że człowiekowi, który nigdy nie uczęszczał do wielkich szkół, nie zabrakło nawet tego daru.

> **Kontekst narratora: kiedy wizyta zmienia życie pisarza**
>
> W tym rozdziale sam **Sulpicjusz Sewer** wchodzi do opowieści w pierwszej osobie! Między **394 a 396 rokiem n.e.** Sulpicjusz — wtedy młody wdowiec z bardzo bogatej rodziny z Akwitanii, wykształcony w prawie i retoryce w Bordeaux — pojechał do Tours, żeby poznać starego biskupa Marcina (który miał wtedy około 60 albo 80 lat).
>
> Dla rzymskiego arystokraty przyjechać z podróży i zobaczyć, jak pan domu — a do tego czczony biskup — klęka na podłodze, żeby zetrzeć kurz z jego sandałów i umyć mu nogi (posługa zastrzeżona dla najniższych niewolników!), było wewnętrznym wstrząsem, który na zawsze zmienił jego życie: po powrocie do domu także Sulpicjusz porzucił karierę publiczną, żeby założyć wspólnotę religijną w swojej posiadłości w Primuliacum.
>
> Zwróć też uwagę, jak żarliwie Sulpicjusz broni inteligencji Marcina: elitarni biskupi Galii patrzyli na niego z góry, bo był *homo illiteratus* — „człowiekiem niewykształconym", czyli byłym żołnierzem wychowanym w koszarach, który nie studiował klasycznej retoryki w wielkich rzymskich szkołach. Sulpicjusz, jeden z najwybitniejszych pisarzy swoich czasów, uroczyście przysięga

czytelnikom, że nigdy nie słyszał nikogo, kto wyrażałby się z taką jasnością, czystością języka i głębią jak ten stary żołnierz!

ROZDZIAŁ XXVI

Portret wewnętrzny: kowadło kowala i cierpliwość wobec własnych kapłanów

Ta książka zbliża się do końca i czas ją zamknąć — nie dlatego, że o Marcinie nie ma już nic więcej do opowiedzenia, ale dlatego, że ja sam, jak ci kiepscy poeci, którym brakuje tchu na ostatniej prostej dzieła, czuję się przygnieciony wielkością tematu.

Bo jeśli widzialne wydarzenia z jego życia można jeszcze, lepiej czy gorzej, ująć w słowa, to gdy chodzi o jego życie wewnętrzne, o jego cichą codzienność i o to serce nieustannie złączone z Bogiem, mówię z całą szczerością: nie ma ludzkich słów, które wystarczyłyby, żeby to opisać. Ta spokojna, zrównoważona wytrwałość w postach, ta wytrzymałość podczas nocy spędzanych na czuwaniu i modlitwie, jakby to był dzień, bez zmarnowania choćby minuty poza służbą Bogu, bez popadania w bezczynność i bez gubienia się w sprawach świeckich, z jedzeniem i snem ograniczonymi do ścisłego minimum, żeby ciało trzymało się na nogach — wyznaję bez przesady, że nawet sam Homer, jak to się mówi, gdyby wrócił ze świata umarłych, nie potrafiłby tego wszystkiego oddać tak, jak na to zasługuje; tak bardzo życie Marcina przerasta to, co może pomieścić książka.

Nie mijała ani jedna godzina, ani jedna krótka chwila, żeby nie trwał na modlitwie albo nie był pogrążony w lekturze; co więcej, nawet kiedy czytał albo miał w ręku jakieś inne zajęcie, nigdy nie odrywał serca od modlitwy. Przypominał w tym zwyczajowy gest kowali, którzy kształtując rozżarzone żelazo, co jakiś czas lekko uderzają w puste

kowadło, żeby dać odpocząć ramieniu i nie zgubić rytmu: tak samo Marcin, nawet gdy wydawał się zajęty innymi sprawami, przez cały czas modlił się w duchu.

Cóż za niezwykły, świetlany człowiek, niezdolny do udawania ani do złośliwości! Nigdy nikogo nie potępił, nigdy nie odpłacił pięknym za nadobne tym, którzy wyrządzali mu krzywdę. Nabył tak wielkiej cierpliwości wobec zniewag, że choć był biskupem diecezji, nawet duchowni najniższej rangi często traktowali go bez szacunku i nic im się nie działo: nigdy z tego powodu żadnego z nich nie usunął ze stanowiska ani nie przestał traktować go z całą serdecznością.

> **Kontekst narratora: uderzenia w kowadło i zniewagi we własnym Kościele**
>
> Ten rozdział zostawia nam jeden z najpiękniejszych obrazów literatury starożytnej: **kowadło kowala** (*incus fabrorum*). W dawnych kuźniach (a w tradycyjnych warsztatach jeszcze całkiem niedawno!), kiedy kowal obracał kleszczami kawałek żelaza w ogniu, pozwalał młotowi luźno, rytmicznie stukać prosto w żelazo kowadła, żeby nie wybić ramienia z rytmu. Dla Sulpicjusza modlitwa nie była u Marcina osobnym zadaniem: była nieustannym biciem serca pośród całego życia.
>
> A kim byli ci „duchowni najniższej rangi" (*infimi clerici*), którzy znieważali Marcina w samej diecezji Tours, a on ich nie karał? Najsłynniejszy przypadek (opowiedziany później przez Sulpicjusza w *Dialogach*) dotyczył młodego kapłana imieniem **Brykcjusz** (*Brice*), który na głos wyśmiewał wizje Marcina i jego ubogie ubranie. Kiedy oburzeni mnisi prosili biskupa, żeby go wyrzucił, Marcin odpowiedział tylko: *„Skoro Chrystus znosił Judasza, dlaczego ja nie miałbym znosić Brykcjusza?"* — i dodał, że pewnego dnia Brykcjusz będzie żałował i zostanie jego następcą na biskupstwie w Tours, co rzeczywiście stało się w 397 roku!

ROZDZIAŁ XXVII

Zakończenie: świetlana twarz i odpowiedź dla zawistnych biskupów

Nikt nigdy nie widział, żeby Marcin wpadł w gniew, nikt nie widział go wyprowadzonego z równowagi, przybitego smutkiem ani zanoszącego się śmiechem: zawsze był tym samym pogodnym człowiekiem, z tak świetlistą radością wypisaną na twarzy, że zdawał się żyć już poza ludzką kondycją. Na ustach miał tylko imię Chrystusa; w jego sercu było miejsce wyłącznie na dobroć, pokój i współczucie. Często płakał nawet nad grzechami tych, którzy za jego plecami wygadywali o nim najpodlejsze rzeczy i którzy, podczas gdy on żył cicho w swoim kącie i nikomu nie szkodził, kąsali go jadowitymi językami żmij.

Prawda jest taka, że sami poznaliśmy niektórych z tych ludzi, pełnych zawiści wobec jego życia i jego prawości — ludzi, którzy nie mogli znieść, że widzą u Marcina zalety, jakich sami nie mieli i jakich nie mieli odwagi naśladować. A najsmutniejsze i najbardziej zawstydzające — aż boli o tym pisać! — jest to, że ci nieliczni prześladowcy to byli prawie sami biskupi! Nie ma jednak sensu podawać tu ich imion, choćby nie wiem jak ujadali wokół nas: zupełnie wystarczy, że jeśli któryś z nich przeczyta te strony i rozpozna w nich siebie, spali się ze wstydu; bo jeśli zacznie krzyczeć i wpadnie we wściekłość, sam się przyzna, że to o nim mówiliśmy — choć może tak naprawdę mieliśmy na myśli innych!

Zresztą jeśli są tacy ludzie, którzy znienawidzą także nas za to, że bronimy człowieka takiego jak Marcin, przyjmujemy tę wrogość jako zaszczyt. Jestem absolutnie pewny, że ta książeczka sprawi radość wszystkim dobrym ludziom szczerej wiary. A co do pozostałych: jeśli ktoś czyta te strony ze złą wolą i niedowierzaniem, niech to załatwi z własnym sumieniem. Moje sumienie jest zupełnie spokojne: napisałem tę książkę, kierując się wyłącznie pewnością tego, co ustaliłem, i miłością

do Chrystusa, przedstawiłem dobrze poświadczone fakty i powiedziałem prawdę. I mam wielką nadzieję, że Bóg przygotował nagrodę nie tylko dla tych, którzy przeczytają tę historię, ale przede wszystkim dla tych, którzy pozwolą się jej poruszyć i uwierzą.

> **Kontekst narratora: książka napisana w obronie człowieka, który jeszcze żył**
>
> Dotarliśmy do ostatniej linijki dzieła Sulpicjusza Sewera — i jest tu coś niezwykłego: kiedy Sulpicjusz odkłada pióro na końcu tego rozdziału XXVII, w pierwszych miesiącach roku **397**, **święty Marcin jeszcze żył!**
>
> Dlatego te ostatnie rozdziały mówią o nim w czasie teraźniejszym: książka narodziła się jako żarliwa obrona Marcina przed zeświecczonymi biskupami Galii, którzy gardzili nim w kuluarach władzy. Zwróć uwagę na subtelną ironię ostatniego pchnięcia — godną wielkiego sądowego adwokata: Sulpicjusz nie zapisuje imienia żadnego zawistnego biskupa, żeby ten z nich, który po lekturze książki publicznie zaprotestuje, sam się zdradził na oczach wszystkich!

EPILOG NARRATORA

Co było dalej: śmierć świętego Marcina i początki 11 listopada

Dlaczego książka Sulpicjusza Sewera kończy się bez opowieści o śmierci świętego Marcina? Z najprostszego powodu: kiedy rękopis był gotowy i trafił do domu Dezyderiusza, wiosną albo latem 397 roku, Marcin nadal przemierzał drogi Galii.

Koniec jego wędrówki był jednak tuż-tuż — i to sam Sulpicjusz Sewer opowiedział o nim niedługo potem w trzech niezapomnianych listach (*Listy do Euzebiusza, do diakona Aureliusza i do teściowej Bassuli*).

Pod koniec października albo w pierwszych dniach listopada tego samego **397** roku Marcin, już bardzo wyczerpany wiekiem, dowiedział

się, że kapłani z parafii **Candes** (dziś *Candes-Saint-Martin*, tam gdzie rzeka Vienne wpada do Loary) są ze sobą skłóceni. Wierny swojej zasadzie, żeby żadnego konfliktu nie zostawiać nieuleczonym, od razu wyruszył, żeby ich pogodzić.

Kiedy udało mu się pojednać duchowieństwo z Candes i szykował się do powrotu do ukochanego klasztoru w Marmoutier, nagle poczuł, że opuszczają go siły — powaliła go bardzo wysoka gorączka. Uczniowie zebrali się wokół jego posłania, zalani łzami: *„Ojcze, dlaczego nas opuszczasz? Komu nas powierzasz, skoro zostaniemy sierotami? Na twoją trzodę rzucą się drapieżne wilki!”* Rozdarty między pragnieniem, żeby wreszcie odejść do Boga, a żalem, że zostawia swoich mnichów bez opieki, Marcin wypowiedział wtedy jedno z najsłynniejszych zdań swojego życia: **„Panie, jeśli jestem jeszcze potrzebny Twojemu ludowi, nie wzbraniam się przed pracą (*non recuso laborem*); niech się dzieje wola Twoja”.**

W ostatnich dniach gorączki nie pozwolił nawet, żeby podłożono mu pod ciało zwykły słomiany siennik: uparł się, że umrze, leżąc na plecach na ziemi, na warstwie **popiołu i szorstkiej pokutnej tunice**, i mówił uczniom: *„Chrześcijaninowi nie godzi się umierać inaczej niż na popiele”*. Kiedy kapłani chcieli obrócić go nieco na bok, żeby ulżyć mu w bólu, poprosił: *„Zostawcie mnie, bracia, pozwólcie mi patrzeć raczej w niebo niż na ziemię, żeby mój duch już przyzwyczajał się do drogi, którą pójdzie do Pana”*. W ostatnich chwilach, czując obecność diabła stojącego obok, stawił mu czoło po raz ostatni: *„Co tu robisz, okrutna bestio? Nie znajdziesz we mnie nic swojego, przeklęty: przyjmie mnie łono Abrahama!”* I tak odszedł w pokoju **8 listopada 397 roku**.

Ciało przewieziono łodzią w górę Loary do miasta **Tours**, a towarzyszył mu tłum, jakiego nigdy wcześniej nie widziano — Sulpicjusz mówi nam, że samych mnichów było blisko dwa tysiące, nie licząc niezliczonych

kobiet konsekrowanych i całej ludności miast i wsi, która szła brzegami, śpiewając psalmy, gdy łódź przepływała.



Listopadowy poranek 397 roku na Loarze: łodzi, która wiezie ciało świętego Marcina z Candes do Tours, towarzyszą na obu brzegach tysiące mnichów i mieszkańców z pochodniami w dłoniach, w złotym świetle „lata świętego Marcina”.

Uroczysty pogrzeb w Tours odbył się trzy dni później, **11 listopada 397 roku**. Właśnie ta data — dzień, w którym ciało Marcina złożono w ziemi u progu europejskiej zimy, w porze, gdy kończyły się prace w polu, w piwnicach próbowano młodego wina i pieczono kasztany z nowych zbiorów — na zawsze wyryła się w pamięci całej Europy jako **dzień świętego Marcina**.

O tym ilustrowanym wydaniu cyfrowym

To wydanie we współczesnej polszczyźnie przedstawia, w całości oraz w płynnej i przystępnej formie, oryginalne łacińskie dzieło **Sulpicjusza**

Sewera, *De vita beati Martini* (*Patrologia Latina*, t. 20, wyd. J. P. Migne, 1845 / Wikisource).

Oprócz współczesnej wersji wszystkich 27 rozdziałów i Listu dedykacyjnego do Dezyderiusza książka zawiera 14 ilustracji (jedną mapę historyczną i 13 obrazów historycznych) oraz uwagi narratora o kontekście historycznym, społecznym, geograficznym i duchowym końca IV wieku.

Ten polski przekład powstał na podstawie wydania angielskiego, *The Life of Saint Martin*, które z kolei przygotowano na podstawie współczesnego wydania portugalskiego *A Vida de São Martinho*, i jest publikowany na tej samej licencji.

Licencja tekstu źródłowego z Wikisource: Creative Commons Attribution-ShareAlike 3.0 Unported / GNU FDL.